

Robert M.
Wegner

Opowieści
z meekhańskiego pogranicza
Wschód – Zachód



Egzemplarz promocyjny
nie do sprzedaży



powergraph

Copyright © 2010 by Robert M. Wegner
Copyright © 2010 by Powergraph
Copyright © 2010 for the cover by Rafał Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redakcja: Michał Cetnarowski

Korekta: Maria Aleksandrow

Skład i łamanie: Powergraph

Projekt graficzny i okładka: Rafał Kosik

Dystrybucja:
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel./fax: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl



Internet: www.amazonka.pl

Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel./fax: 22 834 18 25, 22 834 18 26
www.powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-61187-16-5

Printed in Poland, EU

Najlepsze, jakie można kupić...

Było późne popołudnie, właściwie wieczór, gdy grupa kawalerzystów przemierzała porośnięty wybujałą trawą step.

Na pierwszy rzut oka, dla kogoś niewprawionego w obserwacji wojskowych oddziałów, jeźdźcy wyglądali na dowodzonych przez wyjątkowo niechlujnego i niefrasobliwego oficera. Żołnierze poruszali się w luźnych grupkach, po dwóch, trzech, czasem strzebię w strzebię, czasem jeden za drugim. Cała licząca prawie dwieście koni chorągiew z daleka przypominała zbójcką bandę, wracającą z udanego rabunku, lecz do tego stopnia nieobawiającą się pościgu, że zdążono się już upić i jechano wolno, lekceważąc niebezpieczeństwo. Nawet sztandar oddziału zamiast dumnie powiewać pośrodku grupy, chwiało się gdzieś z boku, jakby chorąży był zbyt pijany, żeby trzymać go prosto.

Gdyby jednak ktoś wzniósł się w powietrze, by spojrzeć na ziemię oczami kołującego pod niebem sokoła, dostrzegłby w pozornym chaosie zadziwiająco regular-

ność. Z góry oddział układał się w kontur wielkiego, czeszącego step półksiężycy, którego rozciągnięte na dwieście jardów skrzydła były zbyt symetryczne, aby mogło to być dziełem przypadku. Fakt, że jeźdźcy utrzymywali szyk, mimo iż oficerowie nie pokrzykiwali na każdego z osobna, dawał piękne świadectwo wyszkolenia żołnierzy.

Wszyscy nosili stalowe hełmy, kolczugi i okrągłe tarcze. Szyje obwiązali wieloma warstwami materiału w kolorze brudnej zieleni; jego końce zwisały im na plecach. Główne uzbrojenie stanowiły krótkie lance i ciężkie szable, lecz w tej chwili większość konnych trzymała w ręku łuki ze strzałami założonymi na cięciwy. Oczy kawalerzystów czujnie przepatrywały morze traw, w którym konie brodziły aż po brzuchy. Miejscami kępy zarośli sięgały wyżej niż wzrost rosnącego mężczyzny. Dobre miejsce na zasadzkę, mówiły ich spojrzenia, bardzo dobre. No to niech ktoś spróbuje...

Rozległo się kilka krótkich, ostrych gwizdów i oddział zaczął manewrować. Konie żołnierzy na lewym skrzydle stanęły, drepzcząc tylko niespokojnie w miejscu, prawe skrzydło przyspieszyło, zataczając łuk. Kontury półksiężycy ledwo zafalowały. Żaden z jeźdźców nie używał wodzy, kierując końmi tylko za pomocą kolan. Ani jedna strzała nie zsunęła się z cięciwy, ani jedno spojrzenie nie zaprzestało obserwacji okolicy. Wydawało się, że to nie oddział wojska wykonuje manewr, lecz zakręca jeden wielki organizm, udając się w sobie tylko znanym kierunku.

Wyglądali jak cesarska gwardia.

Którą, prawdę powiedziawszy, byli.

Okružając niewielkie wzgórze, skierowali się na wschód, gdzie przed kilkoma dniami szalał pożar.

Pogorzelisko ciągnęło się aż po horyzont, równina była czarna, choć te kilka dni wystarczyło, żeby wystrzeliły pierwsze zielone łodyżki. Gdyby nie nagła burza, ogień popędziłby przed siebie, zamieniając wiele mil stepu w jałowy grunt.

Minęło popołudnie. Lato zbliżało się do końca.

Nie licząc ostatniej burzy, nie padało od prawie miesiąca, a słońce bezlitośnie wysuszało każdą odrobinę wilgoci. Trawy, wśród których brodziły konie kawalerii, miały szary, smętny kolor i nie tyle kładły się pod kopytami, ile łamały z suchym szelestem. Żołnierze wiedzieli, że stanowiąca granicę rzeka, zazwyczaj szeroka i głęboka, zamieniła się w jeden wielki bród, a większość studni w promieniu dziesiątek mil straszy mułem na dnie. Takie pożary, jak ten sprzed kilku dni, nie były więc niczym niezwykłym, a mimo to dowodzący chorągwią kapitan postanowił najwyraźniej rzucić okiem na spaloną równinę.

Nie zauważył nic niezwykłego, popiół, kilka niewielkich pagórków, tuman czarnego kurzu podniesiony przez wiatr pół mili dalej. Spokój.

Na tym terenie na pewno nikt nie zdołałby się ukryć.

Oficer uniósł dłoń i zakręcił nią koło.

Kilka kolejnych gwizdów zawróciło oddział w miejscu.

I w tej samej chwili wpadli w zasadzkę. Dwóch żołnierzy jadących najbliżej dowódcy zostało trafionych strzałami, a on sam w ostatniej chwili zdążył unieść tarczę, w którą uderzyły co najmniej trzy pociski. Zaklął szpetnie, strzelano z morza traw, z terenu, przez który przed chwilą przejechali!

Pierwszego atakującego dostrzegł, dopiero gdy ten poderwał konia. Suche łodygi, użyte jako maskowanie, sypały się z niego jak deszcz, gdy wynurzył się spod

ziemi, napiął łuk i posłał mu kolejną strzałę. Tarcza zdrząła od uderzenia. Ciężka strzała z tej odległości pewnie przebiłaby kolczugę. Kapitan zamrugnął, usiłując przepędzić napływające do oczu łzy. Sukinsyny, zaatakowali z zachodu, mając słońce za plecami i jego żołnierzy oświetlonych pięknie jak na strzelnicy. Co z łucznikami?!

Czterech czy pięciu zareagowało jak należy, ale za późno, bandyta szarpnął wodze, krzyknął coś i koń przyklął na przednie nogi, a jego jeździec przechylił się w siodle i znikł za końskim ciałem. Wystrzelone ku niemu pociski pomknęły w step. Zanim łucznicy sięgnęli do kołczanów, koń napastnika wstał już, zawrócił i runął cwałem przed siebie. Razem z... oficer przeklinał słońce... siedmioma, nie, ośmioma innymi. Chorągiew szarpnęła się, zwinęła w miejscu i bez rozkazu pomknęła za uciekinierami. Jej dowódca drżącą ręką włożył srebrny gwizdek do ust i zaczął robić to, za co brał żołd. Dowodzić.

Kilka ostrych komend osadziło połowę szarżującego już oddziału w miejscu. Kilka następnych wyrównało szyk. Rozkazy brzmiały: Złamana Moneta – kawalerzyści w kilka chwil utworzyli wokół dowódcy półokrąg, opierający się na pogorzeliisku. Reszta chorągwi ścigała dalej desperatów, którzy ośmielili się zaatakować cesarską gwardię. Kapitan poświęcił chwilę, żeby rzucić okiem na boki. Nie było tak źle, jak się spodziewał, trafionych zostało dwóch żołnierzy przy nim i jeszcze trzech innych. Jak na co najmniej tuzin wypuszczonych strzał, atakujący nie popisali się. Teraz też – uniósł się w strzemionach, żeby lepiej widzieć – sądząc po kształcie, jaki przybrała pogoń, napastnicy nie rozproszyli się, lecz zbijali w coraz ciaśniejszą kupę, zaganiani na skrzydłach przez ramiona uformowanego w półksiężyc pościgu.

Trzeba będzie pochwalić w raporcie dowodzącego półchorągwią porucznika. Jeszcze chwila, a oddział ogarnie uciekinierów i w kilka uderzeń serca będzie po wszystkim. Pięciu trafionych żołnierzy to cena do przeknięcia.

Na jego oczach pogoń skręciła w lewo, podążając za umykającymi bandytami. Uśmiechnął się, najwyraźniej napastnicy stracili głowę, skoro nawet nie próbowali się rozdzielić, tylko gnali razem jak stado bydła. W pojedynkę któryś mógłby uciec, razem będą tylko...

Uciekający i półchorągiew byli już jakieś dwieście jardów od miejsca zasadzki, gdy zrozumiał, że napastnicy się z nimi bawią. Ten skręt w lewo odciągnął ścigający oddział od rozległej łąki nietkniętych traw. W chwili, gdy imperialna kawaleria ją minęła, w mgnieniu oka wyrosło tam kilkunastu konnych. Natychmiast runęli na plecy skupionych na pościgu żołnierzy. Dwa, trzy, pięć uderzeń serca i szli już cwałem, jeszcze niezauważeni, bo żaden ze ścigających nie obejrzał się. Po co, skoro za plecami powinni mieć własny oddział?

Łuki nowych bandytów napięły się, mierząc z odległości kilkunastu kroków w plecy żołnierzy...

— Vanhen! Zrób coś!!!

Kapitan nie zdawał sobie sprawy, że potrafi tak wrzeszczeć. Mag chorągwi, zajmujący pozycję kilka kroków po jego lewej, uniósł się w siodle, rozłożył ręce i przywołał Moc.

Oficer nigdy nie dowiedział się, co próbował zrobić czarodziej. Utworzyć przed napastnikami ścianę ognia, poderwać wiatr, by uniemożliwić im celny strzał, podciąć koniom nogi? W chwili, gdy mag otworzył usta, coś z potworną siłą trafiło kapitana między łopatki, raz i drugi. Dwa ciosy, jakby przebito go na wylot lancą.

Powoli sięgnął dłonią w tył i dotknął kolczugi. Wyciągnął ją przed siebie, patrząc z niedowierzaniem na lepką czerwień. Przegrał, dotarło do niego, przegrał jak jakiś nowicjusz...

Spojrzał na maga. Vanhen-kan-Lewav siedział w siodle z zakłopotaną miną, po chwili odwrócił się, prezentując trzy czerwone plamy pośrodku pleców. Oczywiście, czarownikowi poświęcili trzy strzały, dowódcy tylko dwie. Choć przypominając sobie siłę uderzeń, nie miał czego zazdrościć.

Zawrócił konia, stając twarzą w twarz z tymi, którzy go pokonali. Zamrugął zdziwiony na widok młodej dziewczyny, która uśmiechała się do niego ironicznie z odległości kilkunastu kroków. Od stóp do głowy umorusana była sadzą, a jedynymi czystymi rzeczami, jakie miała, były łuk i kołczan. Pomachała mu strzałą, którą zamiast grotem zakończono skórzaną kulą o średnicy cala, unurzaną w czerwonej farbie, i puściła oko. Omiótł całą postać wzrokiem, zatrzymując go na brudnym pleddie leżącym u jej stóp. Płytki dołek, trochę materiału, kilka łopat ziemi – jeżeli ktoś nie stanie jej na głowie, była nie do odkrycia. Czekwała tu na jego chorągiew razem z czwórką kompanów, licząc, że uda im się zidentyfikować najpierw dowódcę i bitewnego maga. Zwłaszcza maga, uśmiechnął się kwaśno w myślach i skinął ku dziewczynie. Odwzajemniła pozdrowienie i tym razem uśmiechnęła się bez kpiny. Potrząsnęła głową, otaczając się na chwilę tumanem szaroczarnego pyłu.

Nad równiną rozległy się serie gwizdów.

Ćwiczenia dobiegły końca.

Siedzący na wzgórzu oficer zaklął i z pasją cisnął kubkiem o ziemię. Niedopite wino zabarwiło trawę kroplami koloru starego złota.

— Niech to jasny szlag! Trzeci raz z rzędu?! Trzeci raz! Ile ci jestem winien?

Jego towarzysz uśmiechnął się nieznacznie pod siwym wąsem i udał, że coś liczy na palcach. Obaj dobrze wiedzieli ile, więc więcej w tym było teatralnej gry niż rzeczywistego namysłu.

— Trzydzieści sześć butelek. Podwajałeś za każdym razem, prawda? Dziewięć, osiemnaście, trzydzieści sześć. Myślę, że będzie dobrze, jak przyślesz mi je jutro wieczorem. — Mężczyzna z wyraźną przyjemnością pociągnął z kielicha, mlasnął. — Nektar z Waeh, żadne inne w promieniu stu mil się do niego nie umywa.

Znajdowali się na szczycie jedyne w promieniu wielu mil wzgórza, skąd mieli doskonały widok na całą okolicę. Wzniesienie było trochę zbyt regularne, żeby mieć naturalne pochodzenie, ale jakikolwiek lud, w jakimkolwiek celu je usypał, stworzył świetny punkt obserwacyjny. Widzieli stąd wszystko, perfekcyjne manewry przeszukującej okolicę chorągwi, pierwszy atak, pościg, nagłe pojawienie się kolejnych napastników, „śmierć” maga i dowodzącego gwardią kapitana. I obaj wiedzieli, że gdyby to nie były ćwiczenia, gdyby atakujący nie należeli do imperialnego wolnego czaardanu, to Meekhan straciłby już bitewnego maga, dowódcę chorągwi i kilkunastu lub więcej żołnierzy.

I to z elitarnego, gwardyjskiego pułku Zielonych Gardeł.

— Ta piątka z tyłu szybko by zginęła. — Oficer uspokoił się już, poprawił na ramionach zielony płaszcz z błękitną lamówką i skinął dłonią. Adiutant w stopniu

starszego porucznika natychmiast przyniósł nowy pucharek i napełnił winem. — Poświęciłbyś ich w prawdziwej potyczce?

— Za bitewnego maga i dowódcę chorągwi? Pytasz poważnie? Aberlen, wiesz dobrze, że Se-kohlandczycy w czasie ostatniej wojny potrafili rzucać do samobójczych szarż całe a'keery, żeby tylko dorwać kogoś z naszych czarodziei. Poza tym, gdybym tu miał nie dwudziestu czterech ludzi, lecz dwustu, to chwilę po śmierci kapitana oni zwaliliby się na resztę chorągwi. Może nawet ktoś z tej piątki by przeżył? A jeśli nie... źle oceniasz tę wymianę?

— Aż za dobrze. — Aberlen skrzywił się kwaśno i zaraz uśmiechnął. — Ale resztę tych twoich bandytów byśmy dostali. Przyznaj.

Jego towarzysz machnął ręką.

— Wybierz jednego — zaproponował.

— Co, jednego?

— Jednego z nich. — Wskazał na wracającą z manewrów grupę. — Dowolnego z moich, żebyś nie mówił, że oszukiwałem. I trzech swoich najszybszych jeźdźców. Wyścig, dwa razy dookoła wzgórza.

Generałowi zaświeciły się oczy.

— Bez żadnych sztuczek? Co, Genno? Żadnych dziur w ziemi ani ukrytych w trawie łuczników?

— Tylko końskie nogi.

Zeszli ze wzgórza na spotkanie wracającego oddziału. Zarówno ścigający, jak i ich przeciwnicy wiedzieli już, jak zakończyły się ćwiczenia, ale mimo to nie dało się wyczuć pomiędzy grupami żadnego napięcia. Przeciwnie, żołnierze przemieszali się z niedoszłymi wrogami i tylko dowodzący półchorągwią porucznik miał nietęgą minę. Podjechał do schodzących ze wzgórza mężczyzn.

— Porucznik Hanel-klo-Nawaer melduje się po zakończeniu ćwiczeń, panie generale...

— Wystarczy, poruczniku. Jakie były rozkazy?

— W przypadku zasadzki ruszyć w pościg za nieprzyjacielem, jednak kontynuować go nie dalej niż na ćwierć mili od reszty chorągwi.

— Dobrze. Zauważyliście tych, co wam wsiedli na plecy?

Młody oficer westchnął i lekko poczerwieniał.

— Nie, panie generale. Pojawili się, jakby ich ktoś wyczarował.

— A pamięta pan, poruczniku, trzecią zasadę pościgu? Tę, którą wbijano wam do głowy w akademii?

Czerwień na policzkach porucznika pogłębiła się odrobinę.

— W pościgu jedno oko patrzy w przód, drugie w tył.

— Bardzo dobrze, a piątą?

— Nawet najszybszy koń nie prześcignie strzały — zacytował.

Jego dowódca skinął głową i uśmiechnął się. Na młodego oficera podziałało to jak garniec wrzącego oleju wylany za koszulę. Wydawało się, że zaraz zemdleje.

— Niech zgadnę — generał Aberlen-gon-Sawe podrapał się po głowie. — Pomyślał pan, poruczniku, że weźmie ich żywcem, więc zakazał strzelać. A oni wodzili was za nos, jak chcieli, a gdyby mieli zamiar rzucić się w jakąś przepaść, twoja półchorągiew poszłaby za nimi na śmierć. Prawda? Nie. Niech pan nie odpowiada, to nie było pytanie. Naprawdę uważał pan, że czaardan generała Laskolnyka da się wam połknąć jak płotka szczupakowi? Eeech. Konie macie rozgrzane? — rzucił zniechęcony.

— Tak jest, panie generale.

— Wybierz trzech najszybszych jeźdźców w oddziale. Niech zostawią całe obciążenie, szable, lance, tarcze, łuki i kołczany. Hełmy też. Druga Chorągiew będzie miała szansę odegrać się na tych... — przez chwilę szukał odpowiedniego sformułowania — ... stepowych banitach.

Laskolnyk uśmiechnął się kwaśno i pokręcił głową, jakby poirytowany. Potem stanął z boku i założywszy ręce na piersi, patrzył, jak generał dokonuje przeglądu wśród jego ludzi. Uwagę oficera przyciągnęła wreszcie ciemnowłosa dziewczyna, a raczej jej koń, myszaty, niski i krótkonogi, wyglądający jak jeden z żyjących na Północy dzikich koników, niewiele większych od przeciętnych kuców. Zwierzę szło ze spuszczoną głową, ciężko dysząc.

— Którykolwiek? — upewnił się dowódca pułku.

— Którykolwiek — potwierdził Laskolnyk.

— On. — Generał wskazał na myszowatego konika.

— Dwa okrążenia.

Siwowłosy skrzywił się i zaoponował.

— To nie jest dobry wybór.

— Powiedziałeś: którykolwiek.

— Tak powiedziałem.

— No to niech ta twoja dzikuska się szykuje.

Laskolnyk wzruszył ramionami i podszedł do dziewczyny. Pochyliła się w siodle, żeby lepiej go słyszeć, i przez chwilę rozmawiali. Widać było, że nie jest zadowolona z tego, co powiedział, pokręciła głową, wykonała jakiś skomplikowany gest lewą dłonią, wreszcie wzruszyła ramionami. Kha-dar poklepał jej konika po szyi i ruszył w stronę generała. Właśnie podszedł do niego kapitan pechowej chorągwi. Towarzyszyła mu, cała dokładnie wysmarowana sadzą, łuczniczka.

Kailean stanęła nieco z boku i obserwowała, jak kapitan składa dowódcy pułku raport. Właściwie nie miał wiele do powiedzenia, ale te kilka krótkich zdań to i tak o wiele więcej, niż zdołałby z siebie wydusić, gdyby to nie były ćwiczenia.

Trawy zaszeleściły z boku i stanął przy niej mag chorągwi. Krzywiąc się, próbował dosięgnąć miejsca między łopatkami.

— Nie ruszaj — poradziła. — Wyślij kogoś do Lithrew, niech zapyta o matkę Weirę. Sprzeda ci maść, posmaruj, owiń płótnem, rano nie będzie śladu.

— Mamy w pułku kilku uzdrowicieli.

— Wojskowi znachorzy. Słyszałam o nich. Jeśli chcesz przez miesiąc jęczeć, unosząc ręce do zakłęć, twoja sprawa. — Przeniosła spojrzenie na swojego dowódcę. — Gdybyś jednak się zdecydował, niech posłaniec powie, że przysłała go Kailean. Może matka Weira policzy ci taniej.

Czuła, jak czarodziej się jej przygląda, i prawie mogła prześledzić jego myśli. Jako bitewny mag chorągwi z pewnością miał patent oficerski. A ona była tylko umazaną jak kominiarski czeladnik dzikuską z wolnego czaardanu. Ale służyła pod Genno Laskolnykiem. Więc właściwie mógł się do niej odzywać bez utraty honoru.

— Vanhen-kan-Lewav — przedstawił się wreszcie. — Bitewny mag Drugiej Półpancernej. Podobno udało się wam też wyprowadzić w pole Pierwszą i Czwartą. Generał jest wściekły.

— Kailean-ann-Alewan — skinęła głową. — Dlaczego?

— Jak to, dlaczego? Zielone Gardła to jego pułk. Jego i nikogo więcej, dowodzi nim od piętnastu lat, a tu jakaś stepowa, nieregularna banda trzy razy z rzędu robi z nas

idiotów. Laskolnyk czy nie, nie powinien nadeptywać mu w ten sposób na odcisk. Będzie z tego kłopot.

— Nie potrafi przegrywać?

— Jak mało kto. — Mag uśmiechnął się kwaśno.

— Kailean! — Laskolnyk przywołał ją, przekrzykując narastający gwar. Wieść o wyścigu obiegła już wszystkich i żołnierze oraz jej czaardan wjeżdżali teraz na wzgórze, skąd rozpościerał się lepszy widok. Kilku kawalerzystów krążyło już między towarzyszami, zbierając zakłady.

— Generał ma kilka pytań — wyjaśnił kha-dar.

Dowódca pułku zmierzył ją wzrokiem z góry na dół.

— Duszno było w tej jamie?

— Dało się wytrzymać.

— Jak rozpoznaliście dowódcę i maga? Zgodnie z sugestią generała Laskolnyka — oficer podkreślił słowo „generała”, jakby dzięki temu łatwiej było mu przełknąć przegraną — porucznicy i kapitanowie nie noszą płaszczy ani innych oznak szarży. Mag też nie.

Pokiwała głową.

— Ale dowódca wciąż wydaje rozkazy. W ten sposób.

— Na oczach zdumionego Aberlena jej dłoń wykonała w powietrzu kilka gestów, „zwrot w lewo”, „wolno naprzód”, „mglisty księżyc”, „nawała”. Wiedziała, że wojskowe komendy w jej wykonaniu zrobią takie wrażenie. Zwłaszcza na wysokim oficerze.

— Aaaa, rozumiem. — Dowódca pułku spojrzał na Laskolnyka. — Prawie zapomniałem, kto jest waszym kha-darem.

— A o tym, że co trzeci jeździec z wolnych czaardanów służył kiedyś w imperialnej kawalerii, pamiętał pan, generale? — Pozwoliła sobie na uśmiech. — Sami używamy podobnych sygnałów, choć z konieczności uproszczonych, bo trudno wykonać „nawałę” w trzydzie-

ści koni. Gdy przychodzi do bitki, nie ma to znaczenia, dowódca chorągwi mógłby sobie nawet pomalować hełm na czerwono, a nie będzie bardziej widoczny. Ale jeśli czaimy się w zasadzce, a wrogi oddział manewruje, częstsze step... W trzech przypadkach na cztery mogę wskazać oficera. Zresztą jest też inny sposób.

— Jaki? — Zdumiewające, ale generał wyglądał na autentycznie zaintrygowanego.

Spojrzała na kha-dara, ten skinął głową.

— No więc, panie generale, to wygląda tak, że dowódca chorągwi wydaje polecenia gestami, a oficerowie i podoficerowie przekazują je dalej tym. — Wskazała na srebrny gwizdek zawieszony na szyi Aberlena. — Ale to znaczy, że zawsze kilku lub kilkunastu żołnierzy wpatruje się w jednego, jakby byli w nim zakochani. Nawet jak nie padają żadne rozkazy, to po pewnym czasie, patrząc na żołnierzy, da się ustalić, kto dowodzi.

Gdy mówiła, Aberlen-gon-Sawe poczerwieniał lekko i wyglądał, jakby zaraz miał urwać komuś głowę. Najwyraźniej źle znosił nie tylko przegrane zakłady.

— Dobra jest, prawda? — Laskolnyk posłał jej uśmiech. — Pierwsza na to wpadła, gdy obserwowaliśmy pułk w czasie ćwiczeń. Zrezygnujcie z komend gestami, zostawcie tylko gwizdki. Co z naszym wyścigiem?

Dowódca pułku otworzył i zaraz zamknął usta.

— Może mały, honorowy zakład — wycedził. — Podwajam to, co wygrałeś do tej pory.

Jej kha-dar popatrzył na oficera, mrużąc lekko oczy. Znała ten wyraz twarzy, najwyraźniej Laskolnyk zaczynał się irtować. Powoli skinął głową.

Czwórka mających brać udział w wyścigu jeźdźców była już gotowa. Kailean z uznaniem obejrzała konie kawalerzystów. Dwa kasztany i jeden siwy ogier wygła-

dały jak duma imperialnej jazdy. Szerokie piersi, potężne zady, muskularne nogi. Ich jeźdźcy spoglądali z góry na mającą się z nimi ścigać dziewczynę. Jej konik miał o dobre dwie pędy mniej w kłębie od wierzchowców żołnierzy, a i ona sama nie była zbyt wysoka, więc dzieliły ich jakieś dwie stopy wysokości.

— Wygląda na to, że koza chce się ścigać z chartami — skomentował mag. — Nasz generał chyba odzyska swoje wino.

— Skąd wiesz, że zakładają się o wino?

— Służę z nim od ośmiu lat. Zawsze zakłada się o wino. Uważa, że zakład o pieniądze uwłacza dumie oficera.

— A jak z dumą maga? — Właściwie sama nie wiedziała, co skłoniło ją do tej zaczepki. Chyba też uznała, że trzeba utrzyć nosa zarozumiałym cesarskim. No i ta uwaga o kozie...

— Maga, który ma stopień starszego porucznika — uściślił. — Więc również nie powinien zakładać się o nic innego. W Siódmym to już tradycja.

— Jak teraz obstawiają?

Czarodziej przywołał jednego z kręcących się w pobliżu żołnierzy. Wokół wzgórza trwały przygotowania, kilkunastu jeźdźców okrężało je właśnie powoli, wydeptując w suchej trawie w miarę równą trasę – dwie lance wbito w ziemię w odległości około dwudziestu stóp jedna od drugiej, tworząc prowizoryczną linię początku i końca wyścigu. Niemal cała chorągiew zgromadziła się już na wzgórzu. Żołnierze pokrzykiwali, udzielając biorącym udział w zawodach żartobliwych rad. W tych najmniej złośliwych powtarzały się przestrogi, żeby jeźdźcy uważali, bo dziewczyna ze swoją szkapiną może przemknąć się im pod końskimi brzuchami.

Vanhen-kan-Lewav odprawił żołnierza i powiedział:

— Cztery do jednego na naszych chłopców. Aż dziwne, że tak nisko. Widocznie żal im tej małej.

Prowokował ją, wyraźnie ją prowokował, głosem, intonacją, ledwo skrywanym pokpiwaniem.

— O jakie wino zazwyczaj zakłada się wasz generał?

— O złote kalańskie — wymówił nazwę powoli i dobitnie. — Nektar z Waeh, jak też je zwą. Ale to drogi trunek, org za flaszkę. — Wzruszył ramionami.

Znów ten na wpół lekceważący ton i gest. Nie stać cię, dzikusko. Po co w ogóle o tym rozmawiamy, skoro i tak nie stać cię na taki zakład?

— Postawiłabym ze dwie, albo trzy.

— Trzy?

Nie musiała patrzeć na niego, żeby widzieć wysoko uniesione brwi i wyraz niedowierzania na twarzy. Za trzy orgi można było kupić pół krowy.

Chyba w końcu zrozumiała, o co mu chodziło. Wiedząc, że spędzi pół dnia lub więcej w jamie, przykryta pledem i wysmarowana popiołem i sadzą, Kailean założyła kupione specjalnie na tę okazję stare szmaty. Dziurawe spodnie i za dużą o kilka rozmiarów, przewiazaną w pasie sznurkiem koszulę, której powstydziliby się nawet żebrak. Warkocz przewiazala rzemykiem. Była boso. Przez chwilę miała ochotę zaśmiać mu się w twarz. Jak można być tak... powierzchownym?

— Rodzina kan-Lewav ma nadane szlachectwo?

Zdziwił się, że zadała tak oczywiste pytanie.

— Od czasów Starego Meekhanu.

Co zapewne miało znaczyć „od niezliczonych wieków”.

— Trzy — powtórzyła. — Na Leę. Chyba że się boisz.

Zawahał się, po czym przywołał kolejnego żołnierza i w jego obecności potwierdzili zakład. Już się nie uśmiechał.

Zakończono przygotowania do wyścigu i czwórka jeźdźców stanęła na linii startu. Zasady były jasne. Nieważne, który z kawalerzystów okrąży wzgórze dwa razy jako pierwszy – jeśli choć jeden będzie na mecie przed dziewczyną, Druga Chorągiew nie zaliczy tego dnia do całkowicie zmarnowanych. Jeśli ona im umknie, dowódca pułku będzie uboższy o kilkadziesiąt orgów.

To oczywiście narzucało żołnierzom prostą i skuteczną taktykę – co widać było, jak tylko stanęli na starcie. Siwek zajął pozycję po wewnętrznej, bliżej wzgórza, oba kasztany między nim a Leą, jej samej została pozycja na samym skraju. Kailean przyjrzała się uważniej koniom żołnierzy. Siwy ogier miał wszystkie cechy szybkobiegacza, długie, szczupłe nogi, smukłą szyję, szeroką pierś. Drobił kopytami z niecierpliwością, potrząsał kształtną głową, wrywał się naprzód. Lubił się ścigać. Zapewne w gonitwie na pół mili żaden koń w pułku nie mógł go pokonać. Kasztany były nieco masywniejsze, zapewne nie dorównywały mu szybkością, lecz z pewnością biegały niewiele wolniej. Wyglądały za to na spokojniejsze. Typowe konie bojowe, przyuczone do szarżowania, nagłych zwrotów i pościgów w szyku. One będą blokować konika Lei, a siwy ogier runie do przodu. Wzgórze miało około stu pięćdziesięciu jardów średnicy, dwa razy dookoła niego dawało dystans mniej więcej pół mili. Idealny do końskiego sprintu, a jeśli siwek na starcie odsadzi się o dwie lub trzy długości, wygra bez żadnych problemów.

To samo musiał pomyśleć mag, bo gdy konie stanęły w rzędzie, mruknął:

— Dziesięć uderzeń serca i wyścig się skończy... Jutro wieczorem będę po służbie — dodał.

W sensie: jutro wieczorem będę mógł wypić wygrane od ciebie wino.

W ostatniej chwili ugryzła się w język. Mag był przewidywalny, zadufany i najwyraźniej niezbyt rozgarnięty. Wstrzymała się z odpowiedzią.

Konie przebiegną pół mili bardzo szybko.

Dowódca pułku uniósł dłoń w górę, zielona szarfa załopotąła na wietrze. Machnął.

Siwek wystrzelił do przodu, jakby ktoś przypiekl mu zad żelazem do znakowania. Niemal od razu, w kilku krokach, przeszedł w cwał – długie nogi pchały go do przodu, nadając znakomitą prędkość. Wydawało się, że płynie, leci, niesiony jakąś tajemną siłą. W kilka chwil był już dwie–trzy długości przed pozostałą trójką.

A ta rozpędzała się wolniej. Tak jak wszyscy przewidywali, oba kare ogiery zaraz po starcie zajęły pozycję przed konikiem Lei i skutecznie odcięły ją od siwka. Szły galopem, bok przy boku, jakimś szóstym, końskim zamysłem wyczuwając, gdzie jest ich rywal, i nie pozwalając się wyprzedzić. Po kilku próbach, gdy siwek był już o pięć długości przed resztą, wydało się, że Lea poddała się, zrezygnowała, jej myszowaty wierzchowiec galopował smętnie na końcu stawki, a gdy przebiegał obok Kailean, dziewczyna wyraźnie zobaczyła, że zwierzę ciężko dyszy i sapie. Beczkowaty tułów i krótkie nogi upodabniały go do tych zapasionych niemal na śmierć kuców, którymi meekhańska szlachta lubiła obdarowywać swoje dzieci. Wypchane sakwy obijały się o boki zwierzęcia.

Po chwili wszystkie wierzchowce zniknęły za wzgórzem.

— Pewnie od początku wiedziała, że przegra, bo nawet nie odciążyla konia — Vanhen-kan-Lewav westchnął dramatycznie. — Gdybym zauważył te sakwy wcześniej, nie przyjąłbym zakładu.

Irytacja, która w niej kielkowała od kilku chwil, wreszcie wybuchła.

— I to dlatego wgapiłaś się w jej konia przez pół minuty? Zanim wspomniałaś coś o kozie i chartach? I zanim rzuciłaś mimochodem, że w pułku oficerowie zakładają się tylko o wino, o którym jakaś uboga dzikuska nawet nie słyszała? Może liczyłaś na to, że ta dzikuska będzie musiała zrobić coś więcej, żeby spłacić dług?

— Ja nie...

— Patrz i myśl — przerwała mu. — Jesteś na Stepach. Nie w stolicy, gdzie gwardia robi za eskortę honorową dla cesarskiej rodziny.

— Nie tylko — zaperzył się.

— Oczywiście, że nie — wycodziła. — Pewnie jeszcze bierze udział w wyścigach między różnymi pułkami, gdzie oficerowie zakładają się o wino.

Zatkało go.

Brzęknęła na cięciwie łuku, żeby wreszcie otworzyć mu oczy, a gdy zmarszczył tylko brwi, podsunęła mu broń pod nos. Przez chwilę przenosił wzrok to na nią, to na łuk, wreszcie zniecierpliwiona postukała palcem w znaki cechowe. Otworzył usta, szczerze zdumiony.

Ramiona broni były klejone przez Grewysa Fendoryka. Nie tylko w jego warsztacie, ale i przez niego osobiście. Sam dobierał drewno, róg, ścięgna i klej. Sam pracował nad kształtem i siłą naciągu. Zanim wykonał dla niej łuk, badał, jak napina broń, jak strzela, jaki ma zasięg ramion i jak siedzi w siodle. Jego praca kosztowała sto orgów, a grawerunek na brzuścu pokrytym warstwą laki dawał

świadectwo kunsztu mistrza i przede wszystkim wartości samej broni. Majdan został wykonany w warsztacie w Ka-berd, wyrzeźbiono go pod dłoń strzelca, uwzględniając wszystko, łącznie z długością palców i ulubionym chwytem. Kosztował dziesięć orgów. Cięciwę zrobiono w Makonenn, a Imperium nie miało lepszych rzemieślników wyrabiających cięciwy. Dwa orgi sztuka, a nie założyła najdroższej, bo było jej szkoda. Ale mogłaby postawić dowolną ilość wina, że w całym Siódmym Pułku nie znalazłaby ani jednego łuku z cięciwą z Makonenn. Po prostu kosztowały za dużo dla armii.

— Widzisz, czarodzieju, my tu na granicy żyjemy inaczej, niż to sobie wyobrażałeś. Tak, zdarza się, że chodzimy głodni i spragnieni, ale na dwóch rzeczach nigdy nie oszczędzamy. Pierwszą z nich jest broń, bo dobry łuk, szabla czy kolczuga to twoje życie lub śmierć. Więc jeśli stać mnie na taką broń, to flaszka jakiegoś wina nie robi na mnie wrażenia. A ty masz ten łuk przed oczami, lecz i tak widzisz tylko dziewczynę w łachmanach, którą można traktować uprzejmie, ale taką uprzejmością, co to kulą żółci podjeżdża pod gardło. Że niby zakład, ale z wahaniem, bo wysoka stawka, i w ogóle czy to wypada, żeby oficer zakładał się z nie wiadomo kim. Kiedy miałeś zamiar wspomnieć, że jeśli nie stać mnie na spłatę długu, to możemy porozmawiać o tym u ciebie na kwaterze? Najlepiej wieczorem?

Poczerwieniał w mgnieniu oka.

— Nie — warknęła. — Nie gadaj, patrz na wyścig. Ucz się.

Konie wyłoniły się zza zakrętu w takiej kolejności, jak znikły, tym razem jednak wszystkie galopowały, jakby żołnierze nie chcieli ich bez potrzeby przemęczać. Najpierw pędził siwek, mający już przewagę sześciu długości nad resztą, potem dwa kare i myszowaty konik Lei,

dzielnie podążający na końcu stawki. Zadziwiające było jedynie to, że odległość między nim a końmi żołnierzy nie zwiększyła się ani odrobinę. Jednakże jeźdźcy dosiadający karych wierzchowców galopowali już spokojnie, nawet nie próbując zajeżdzać dziewczynie drogi. Siwek właśnie minął dwie lance na linii startu, przekraczając połowę dystansu, i nic na świecie nie mogło odebrać mu zwycięstwa.

Kailean nie patrzyła już na maga, całą uwagę poświęcając wyścigowi.

— Drugą rzeczą, na której nie oszczędzamy, czarodzieju, są konie — powiedziała cicho.

Oba kare ogiery przemknęły między lancami, a za nimi, tłukąc wyschnięte badyle i wdychając podniesiony z ziemi pył, pędził wierzchowiec Lei. W chwili, gdy zrównał się z półmetkiem, dziewczyna błysnęła sztyletem po obu stronach siodła i dwie ciężkie sakwy gruchnęły na ziemię. Pochyliła się do przodu i pogładziła konia po szyi.

I wtedy myszowaty konik zmienił się w wystrzelony z katapulty pocisk. Wydawało się, że jakaś siła złapała go za uzdę i pociągnęła w przód. Krótkie nóżki zamieniły się w rozmigotane plamy, tułów jakby się wydłużył, lecz to było tylko złudzenie, bo koń po prostu wyciągnął się przy ziemi, wysuwając szyję jak najdalej w przód. Błysnęła złotymi zębami i zarżał wyzywająco.

Obaj dosiadający karych ogierów kawalerzyści obejrzeli się, lecz było już za późno. Lea wjechała między nich i zanim zdążyli zamknąć otwarte w bezbrzeżnym zdumieniu usta, runęła do przodu.

Z kilkudziesięciu gardeł wyrwał się ostrzegawczy okrzyk. Jeździec siwka był dobry, nie tracił czasu na oglądanie się i sprawdzanie, co zaszło, tylko pochylił się

w siodle i uderzył końskie boki ostrogami. Ogier przyspieszył, z szybkiego galopu, którym pędził do tej pory, przeszedł od razu w cwał.

Kailean pokiwała z uznaniem głową.

— Dobry koń.

Tylko że dobry koń to za mało na szarego demona pędu, w którego zamienił się wierzchowiec Lei. Na oczach zgromadzonych na wzgórzu żołnierzy odległość między zwierzętami zaczęła się zmniejszać w takim tempie, jakby nagle siwek musiał galopować w smole. Sześć długości, pięć, cztery... Gdy jeździec ogiera zerknął przez ramię, Lea była już trzy końskie długości za nim i wciąż zmniejszała odległość. Kawalerzysta wrzasnęła coś i uderzył ostrogami tak gwałtownie, że końskie boki zaczerwieniły się świeżą krwią. Kailean skrzywiła się.

— Głupiec — skomentowała. — Koń nie popędzi szybciej, lecz się zdenerwuje i może skręcić kark. Swój i jeźdźca.

Zwierzęta na przodzie znikły za wzgórzem. Towarzyszyły im okrzyki żołnierzy i jeźdźców z czaardanu Laskolnyka, ci pierwsi krzyczeli jednak z coraz mniejszym zaangażowaniem. Kailean spojrzała na milczącego czarodzieja i po raz pierwszy uśmiechnęła się szeroko.

— Czarodziej, oficer, szlachcic i kawalerzysta. Tak cię określają, prawda?

Skinął głową, posyłając jej ponure spojrzenie.

— Ale nie jeździec, mam rację?

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Ja? Nic. Zupełnie nic. Tylko że prawdziwy jeździec, patrząc na konika Lei, zastanowiłby się przez chwilę, dlaczego dziewczyna z wolnego czaardanu, i to czaardanu Genno Laskolnyka, jeździ na czymś, co przypomina

skrzyżowanie kuca z mułem. Co jest w tym zwierzęciu, że powierzyła mu swoje życie?

Krzyki żołnierzy podniosły się jeszcze raz i nagle umilkły.

— Wyprzedziła go — skomentowała to Kailean, nie spuszczać z niego wzroku. — Gdy jesteś w czaardanie, zarabiasz na chleb, eskortując karawany, chroniąc stada i tabuny, ścierając się z koczownikami, czasem przecho-
dząc rzekę, żeby odbić jeńców czy odzyskać łupy. Dobry koń i dobra broń to twoje życie. Rozumiesz, magu?

Pokiwał głową.

— Rozumiem.

— Koń Lei zwie się *kan'nor*. — Odwróciła się znów w stronę prowizorycznego toru. — I nie jest to imię, lecz nazwa pewnego typu wierzchowców, biegaczy, szybszych niż jakiegokolwiek inne zwierzęta. W języku Arenirów *kan'nor* oznacza ducha-błyskawicę. Taki koń nie należy do żadnej konkretnej rasy, może być zarówno ciężkim pótharysem, jak i długonogim kaneyą, i nie sposób go rozpoznać na pierwszy rzut oka. Jedno za to jest pewne. Jeśli ma się ścigać, pędzi jak wiatr, pędzi szybciej niż jego przeciwnik i nigdy nie przegrywa. Nigdy. Chyba że dwa takie konie trafią na siebie w czasie wyścigu.

— Co wtedy?

— Wtedy cwałują, dopóki jednemu z nich nie pęknie serce. Ale i tak umiera szczęśliwy, jak powiadają.

— Dużo mówisz, łuczniczko.

— Nie pierwszy raz to słyszę, czarodzieju.

Konie wypadły zza zakrętu. Na przedzie mknęła szara błyskawica, wzbijając potężny tuman kurzu i z każdym uderzeniem kopyt odsadzając się od reszty. Jeśli w tym wyścigu ktoś był chartem, to z pewnością nie konie żołnierzy. Konik Lei minął linię mety i przez chwilę

wyglądało na to, że pocwałuje w step. Dziewczyna z najwyższym trudem zmusiła go do przejścia w galop, potem w kłus i zawróciła. Boczył się wyraźnie i nie chciał słuchać, uspokoił się dopiero, gdy konie kawalerzystów zatrzymały się po minięciu mety. Wiedział, że wygrał.

Wszyscy żołnierze gapili się na zwierzę, które jeszcze kilka minut temu sнуło się ze zwieszonym łbem, robiąc bokami, jakby zaraz miało paść. Teraz myszowaty ogier zadarł ogon w górę, uniósł dumnie głowę i stapał tak, jakby defilował przed cesarską trybuną.

— Oszust!

Kailean aż podskoczyła, słysząc ten głos. Aberlen-gon-Sawe szedł w stronę jej kha-dara i wymachiwał rękami. Czerwone plamy na policzkach z pewnością nie były tylko skutkiem picia wina.

— Specjalnie podsunąłeś mi pod nos tę chabetę, żebym ją wybrał! Kazałeś dziewczynie udawać, że jej koń ledwo stoi! Jesteś oszustem, Laskolnyk!

Dowódca odwrócił się w stronę generała i założył ręce na piersi. Znała ten gest, a jeszcze lepiej znała minę, jaka zagościła na twarzy Laskolnyka. Kha-dar nie był już poirytowany. Był zły.

— Mówiłem ci, Aberlen, że to nie jest dobry wybór. Nie słuchałeś.

Dowódca Siódmego zmrużył oczy.

— Generale gon-Sawe, jeśli łaska — wycedził.

— Generale — zgodził się Laskolnyk, zaciskając usta w wąską kreskę. — Moje wino. Jeśli łaska.

A była gotowa założyć się, że czerwien na policzkach oficera nie może być już mocniejsza.

— Chyba zapomniałeś, że nie jesteś już w armii — Aberlen-gon-Sawe nie tyle to powiedział, ile wydał z siebie jakiś charkot. — Za trzy dni będziesz mógł ode-

brać swoje wino w Lithrew. A teraz zabieraj tę bandę i wracaj do swojej dziury, Laskolnyk.

Po tych słowach zapadła cisza. Żołnierze gapili się na swojego dowódcę w milczeniu, niektórzy ze szczerym zdumieniem, niektórzy ponuro. W końcu stał przed nimi Genno Laskolnyk. Kailean wątpiła, czy gdyby teraz jej kha-dar chciał zdzielić dowódcę pułku w szczękę, to choć jeden kawalerzysta próbowałby go powstrzymać.

Ale Laskolnyk odwrócił się tylko, zupełnie jakby oficer przestał istnieć, i gwizdnął na palcach. Siwy ogier podbiegł do niego posłusznie, kha-dar wskoczył na siodło i rozejrzał się, starannie omijając wzrokiem żołnierzy.

— Zbieramy się — powiedział cicho i od razu ruszył w dół wzgórza. Kawalerzyści spuszczaali głowy, gdy ich mijali.

Kailean spojrzała na czarodzieja, nagle wściekła, jakby to on ponosił odpowiedzialność za zachowanie swojego dowódcy.

— Za trzy dni będę w Lithrew czekała na dwanaście flaszek wina, magu. I lepiej, żeby tam było, panie oficerze.

Ruszyła w stronę Kocimiętki, który już trzymał jej konia. Toryn parsknął na powitanie i próbował trącić ją łbem. Uniknęła pieszczoty i tak jak stała, w żebraczych łachmanach wskoczyła na siodło.

Nie jesteś już oficerem, ośmielił się powiedzieć ten... ten cholerny kurdupel, zwracając się do człowieka, który jadał z samym cesarzem, a w czasie bitwy o Meekhan prowadził do boju trzydzieści tysięcy imperialnej jazdy! I miał czelność odprawić Genno Laskolnyka, jak się odprawia chłopca na posyłki. Zacisnęła wodze w dłoniach.

Najchętniej wpakowałaby komuś strzałę. Prosto w czerwoną z wściekłości gębę.

Kwatery czekały na nich w Małym Bynder, stancy położonej w połowie drogi między Lithrew a Makonenn. Do jednego i drugiego miasta było równiutkie czterdzieści mil, z dokładnością do kilkudziesięciu jardów. Tak w czasach, gdy Imperium dotarło na te ziemie, meekhańscy wojskowi umacniali granicę. Brali mapę, odmierzali na niej odległości i zaznaczając jakiś punkt, mówili: „Tu właśnie postawimy stanicę, fort, warownię”. Po czym ruszała budowa. Często nikt nie zastanawiał się nad sensem stawiania umocnień w takim czy innym miejscu ani nie myślał o tym, że odległości na mapie nie są tym samym, co droga, którą trzeba przebyć w rzeczywistości. Zresztą wbrew pozorom postępowanie takie miało sens – po zbudowaniu warowni łączono je bowiem siecią kamiennych dróg, budowanych, zgodnie z najlepszymi tradycjami imperialnej inżynierii, prosto, jak z łuku strzelił.

Jednak i tak mieli teraz spory kłopot. O ile bowiem do Makonenn czterdzieści mil prowadziło przez równiutki step, o tyle między Małym Bynder a Lithrew rozciągał się teren lekko pofałdowany, poprzecinany wąwozami i różnej wielkości wzgórzami. Czterdzieści mil na mapie tak naprawdę miało tu długość sześćdziesięciu. Na dodatek w czasie ostatniej wojny droga do Lithrew została w kilku miejscach poważnie zniszczona, a nikomu nie chciało się jej naprawiać w czasach, gdy Meekhan oparł obronę swojej północno-wschodniej granicy na oddziałach jazdy, która w ciągłych utarczkach z koczownikami i tak nie korzystała ze stałych szlaków. A czaardan musiał wyruszyć jak najszybciej, co oznaczało, że nie unikną noclegu pod gołym niebem.

I wpakowali się tu, bo kha-dar nie potrafił odmówić prośbie kilku znajomych.

Od dwóch miesięcy Meekhan gromadził na północno-wschodniej granicy znaczne siły. Nie były to jednak zwykle ruchy wojsk, dzięki którym żołnierze nie nudzą się w koszarach, tylko coś więcej. To coś więcej sprawiło, że trakty handlowe wyludniły się niemal całkowicie, ceny mąki, mięsa i wina poszybowały w górę, a ludzie zaczęli ciągnąć do większych miast. W powietrzu pachniało wojną.

Gdy zaczęto wzmacniać przygraniczne garnizony, a do na wpuł opuszczonych stanic z powrotem sprowadziło się wojsko, Kailean pomyślała, że to skutek ich nocnego starcia z a'keerem Błyskawic. W końcu niezbyt często zdarza się, aby gwardia przyboczna Ojca Wojny atakowała meekhańskie miasto, i to otwarcie, nosząc własne znaki, więc Imperium postanowiło odpowiedzieć zbrojną demonstracją, bo nawet fakt, że w całą sprawę zamieszani są Pomiotnicy, nie usprawiedliwiał takiej napaści.

Ale po kilkunastu dniach, gdy wojska było więcej i więcej, musiała przyznać, że jej domysły wyglądają śmiesznie. Nawet gdyby Lithrew zostało starte z powierzchni ziemi, Imperium nie przesunęłoby na granicę całej armii konnej, ryzykując wojnę z wciąż potężnym sąsiadem. Poza tym skala manewrów świadczyła o tym, że szykowano je od wielu miesięcy, że zaczęto o nich myśleć znacznie wcześniej, nim pierwszy Pomiotnik pojawił się w mieście. Na pierwszej linii, wzdłuż liczącej trzysta mil granicy z Wielkimi Stepami, stało teraz prawie dwadzieścia tysięcy konnicy, z czego więcej niż połowę stanowiła regularna kawaleria. Resztę uzupełniały wolne czaardany, takie jak ich, które zgod-

nie z imperialnym prawem dowódcy pułków mogli przyjąć na żołąd. Warowne miasta – Makonenn, Kawe czy Nawenth – wzmocniono piechotą, a twierdze, jak Gundarh, po raz pierwszy od dziesięciu lat miały pełną załogę i pełne spichrze. Nawet ślepy by zauważył, że Imperium szykuje się do wojny.

Albo przynajmniej szczerzy kły, żeby do wojny zniechęcić.

Oczywiście dla wszystkich mających jakiegokolwiek pojęcie o wojnie było jasne, że te dwadzieścia tysięcy konnych, rozrzuconych w kilkunastu warownych obozach, będzie zbyt rozproszone, żeby zatrzymać wielkie zagony podobne do tych, które uderzyły na Imperium ćwierć wieku temu. Ich zadaniem było przede wszystkim rozpoznać siłę i kierunki ataków, opóźnić marsz, szarpać wroga wojną podjazdową i wprowadzać zamieszanie. A potem wycofać się do najbliższej twierdzy czy miasta albo na zachód, w kierunku głównych sił, na które składało się podobno czterdzieści tysięcy jazdy i trzydzieści piechoty, nie licząc jednostek pomocniczych. Zadanie niemal samobójcze, ale niektórzy dowódcy pułków stawali na głowie, żeby je dostać. Gotowi byli iść tropem wojennej chwały niczym posokowce śladem ranego dzika. I mogli skończyć, jak czasem kończyły one, dołączając własną krew do krwi ściganey zwierzyny.

Lecz w taki właśnie sposób Siódmy Pułk Gwardii Konnej Zielone Gardła trafił tuż nad granicę. Jego dowódca niemal od razu zawarł trzymiesięczne kontrakty z kha-darami kilkunastu wolnych czaardanów, zwiększając swoje siły o jakieś siedemset koni, przede wszystkim lekkiej jazdy i konnych łuczników. Umocnił Mały Bynder, zamieniając stanicę w prawdziwy obóz wojskowy, i zaprosił Genno Laskolnyka do siebie.

Zaprosił!

Aż zgrzytnęła zębami na to wspomnienie. Rzeczywiście ich zaprosił i bardzo nalegał, żeby jej kha-dar raczył zaproszenie przyjąć. Nie zaproponował im kontraktu, rzekomo dlatego, że hańbą byłoby proponowanie sławnemu generałowi pieniędzy jak pierwszemu lepszemu najemnikowi, ale powitał z wszystkimi honorami, niczym księcia. Cały pułk ustawił się do przeglądu w pełnym wyposażeniu. Pamiętała, jak przed trzema dniami wjeżdżali na plac przed stacją, na którym tysiąc dwieście koni stało w równiutkich szeregach. Sześć półpancernych chorągwi czekało w milczeniu, prezentując broń. Ich dowódca najwyraźniej zapragnął się popisać, bo wszystkie elementy wyposażenia lśniły, jakby dopiero co odebrano je z magazynów. Może zresztą tak właśnie wyglądała prawda, Siódmy był pułkiem gwardyjskim, zazwyczaj stacjonował w samej stolicy, a tam nigdy nie było problemów z zaopatrzeniem.

Jadąc za Laskolnykiem, oceniała żołnierzy. Część służyła już na pograniczu, przy północnych lub południowych stepach, bo do gwardii nie brano tylko szlacheckich synalków, więc pułk miał swoją wartość. Ale mimo wszystko od czasów wojny z Se-kohlandczykami Zielone Gardła jako jeden oddział nie uczestniczyły w prawdziwej bitwie. Pułk potrzebował nie pozorowanych, ćwiczebnych starć, lecz walki na śmierć i życie z prawdziwym wrogiem. Żołnierska sprawność, tak wspaniale prezentująca się w czasie parad, musiała znaleźć potwierdzenie w, jak nazywano to w imperialnej kawalerii, krwawych oczepinach. Tylko wtedy Siódmy zamieni się w maszynę wojenną, zdolną stawić czoło se-kohlandzkim a'keerom. Być może dlatego właśnie Aberlen-gon-Sawe nalegał, żeby to jego oddział znalazł się tuż przy samej granicy.

Był z tych, którzy uważają, że miecz nie tylko powinien być ostry i dobrze leżeć w dłoni, lecz także musi od czasu do czasu posmakować krwi.

Westchnęła z irytacją, wspominając, jak ich przyjęto. Od początku było jasne, że dowódca Siódmego i Laskolnyk znają się dobrze. Chyba za dobrze. Aberlen służył pod Laskolnykiem kilka lat, zanim awans wyniósł go do stopnia generała i teoretycznie zrównał z byłym dowódcą. Teoretycznie – dobre słowo. Jej kha-dar odszedł z imperialnej armii prawie pięć lat temu, zaszył się na pograniczu, prowadząc własny czaardan, ale i tak wszyscy, od chłopców stajennych po dowódców oddziałów stacjonujących na granicy, mówili do niego „panie generale”. Niby nie powinno to nikogo dziwić, w końcu stopień wojskowy należał mu się aż do śmierci, ale to „panie generale” miało znacznie głębszy sens. Kapitanowie i pułkownicy, mający za sobą trzydzieści lat służby, salutowali Laskolnykowi ostro, sprężyście i co najważniejsze, całkowicie odruchowo, jakby fakt, że nie nosił już munduru, nie miał najmniejszego znaczenia. Nie było w tym nic ze zdawkowej uprzejmości, tylko wyryty w żołnierskich kościach nakaz, mówiący, że tak trzeba. Że oto stają przed Laskolnykiem, TYM Laskolnykiem, więc nieoddanie mu honorów byłoby hańbą dla całej armii.

Widziała to w czasie powitalnego przeglądu. Kha-dar bez żadnego ostrzeżenia skręcił koniem między żołnierzy. Tam, gdzie jechał, szeregi, wyprężone już jak struna, prężyły się jeszcze mocniej, broń lśniła jaśniej, a konie dumniej wyginały szyje. Tam, gdzie pochwalił konia i jeźdźca, choćby skinieniem głowy, na twarzy kawalerzysty wykwitał radosny uśmiech. Tam, gdzie zmarszczył brwi, pojawiała się trupia bladość. A przecież poza zwykłym grymasem nie miał nad żołnierzami żad-

nej władzy, nie mógł nakładać kar ani rozdawać nagród. Mimo to na kilka chwil przejął dowództwo nad pułkiem w sposób tak absolutny i naturalny, jakby prowadził go zawsze. Wszedł w rolę tak łatwo, że nikt by nie uwierzył, że od kilku lat dowodził tylko stepową zbieraniną. W jakiś sposób przerażało ją to. Jakby patrzyła na obcego człowieka, a nie na swojego kha-dara, który na co dzień nazywał ją „córuchną”.

Daghena trąciła ją wtedy w bok i wskazała Aberlengon-Sawego. Generał patrzył na tę inspekcję z twarzą ściągniętą dziwnym grymasem. Oto ktoś, kogo nie widział od wielu lat, w parę chwil odebrał mu dowództwo. Nie tylko ona czuła się zagubiona i zmieszana. I wiedziała już, że przyjęcie zaproszenia to zły pomysł.

Ale dopiero dziś zrozumiała, że generał przez ostatnie trzy dni nie szlifował sprawności swoich ludzi, lecz pod pozorem wspólnych ćwiczeń rzucał wyzwanie byłemu dowódcy. I wcale nie chodziło o wino. Młodemu wilkowi nie podobało się, że stary basior jest na jego terenie, więc próbował pokazać mu, kto tu rządzi.

Tak naprawdę mężczyźni nigdy się nie zmieniają, pomyślała kwaśno. I nie ma większych różnic między plemiennymi wojownikami, pojedynkującymi się w rytualnych kręgach, żeby ustalić, który jest lepszy w walce, a generałami imperialnej armii. No, może poza tym, że ci pierwsi używają noży i drewnianych maczug, a ci drudzy całych oddziałów wojska.

A jej czaardan okazał się na tyle dobry, żeby trzy razy z rzędu pokonać cesarską gwardię. Za pierwszym razem mieli spróbować przeniknąć linię czat, składającą się z całej chorągwi. Zajęło im to większość nocy. Następnego dnia mieli ukraść mały tabun koni. Kocimiętka, Landeh, Veria i Dagghena pół życia spędzili na takich zabawach.

Dziś mieli za zadanie zastawić zasadzkę na chorągiew i poszarpać ją tak mocno, jak się da. Poszło im aż za dobrze, a wyścig, który miał pozwolić zachować Aberlenowi twarz, przelał tylko czarę goryczy.

Młody wilk z pianą na pysku przegnał starego ze swojego terenu. Nie bacząc na prawa gościnności i fakt, że sam go zaprosił.

Stanicę opuszczali tuż przed zmierzchem. Horyzont połykał okrwawiony krążek słońca, głęboka purpura barwiła wieczorne niebo. Wieczór był tak piękny – aż trudno uwierzyć, że kilka mil stąd jest granica, zza której w każdej chwili może uderzyć dzika armia. Ale nikt o tym nie zapominał, a ponieważ wyjeżdżali w step tuż przed nocą, czaardan szedł w szyku bojowym, z dwoma jeźdźcami posuwającymi się sto jardów przed resztą, z bronią pod ręką i oczami dookoła głowy. Dwudziestu czterech konnych to dużo i mało jednocześnie. Dużo, jeśli natkną się na zwykły na tych terenach kilku- lub kilkunastoosobowy podjazd, bo takie oddziały najczęściej przechodziły tu rzekę. Mało, jeśli trafią na pełny a'keer. Choć to ostatnie nie było zbyt prawdopodobne. W okolicę, gdzie stacjonował cały pułk, Se-kohlandczycy wysłaliby albo kilku szpiegów, albo całe bojowe Skrzydło, liczące zazwyczaj około trzydziestu a'keerów. Tylko że to byłoby równoznaczne z rozpoczęciem wojny, a wtedy ich czaardan miałby na głowie inne problemy niż tylko bezpieczny powrót do domu.

Żołnierze stojący przy bramie ani słowem nie skwitowali tego, że czaardan Laskolnyka wyjeżdża z obozu. Wieść już się rozniosła i wartownicy ograniczyli się do sprężystego oddania honorów. Żaden się nie odezwał.

Kailean jechała w środku kolumny, z szablą pod ręką, i korzystając z ostatnich promieni słońca, rozglądała się

po okolicy. Termin Wielkie Stepy był mylący, rozciągał bowiem przed oczami wyobraźni rozległe, równe jak stół przestrzenie, porośnięte trawami, z rzadka tylko pęczniejące jakimś zapomnianym kurhanem. W rzeczywistości część Stepów stanowiły wzgórza, czasem poprzecinane głębokimi jarami i rozpadlinami. Łatwo było się tam ukryć, łatwo zorganizować zasadzkę, więc często zalegały się w takich okolicach zbrojne bandy.

Droga, którą wyruszyli na północ, w stronę Lithrew, z początku wiodła prosto, dopiero po kilku milach przecinała taki właśnie teren, zwany przez miejscowych Lanwaren. Lanwaren miało trzydzieści mil długości, ponad dwadzieścia pięć szerokości i od wielu lat stanowiło naturalną ostoję różnych banitów. Meekhański trakt przecinał je w meekhańskim stylu, wrzynając się na przestrzał we wzniesienia i mostami przeskakując rozpadliny. Jednak w czasie wojny wszystkie mosty zostały zniszczone, a później większość kamieni powyrywano z drogi, aby użyć ich do odbudowy miast i wsi. Ważniejsze od szlaków okazały się mury obronne i w związku z tym niemal całą trasę mieli przebyć, wędrując przez dzicz. Dla nich to żadna nowość, ale Kailean i tak była z tego powodu zła.

Nie.

Przyznała po chwili.

Nie z tego powodu.

Berdeth znikł. Nie pojawiał się od trzech dni, od chwili, gdy zbliżyli się do stancy, a ona nie wiedziała dlaczego i zaczynała się irtować. To też nie była prawda. Zakłęła pod nosem, przyciągając spojrzenie Dagheny. Nie irtowała się, tylko czuła nadchodzącą panikę. Zdarzało się, że Berdeth nie raczył się pokazywać nawet przez kilkanaście dni, ale zawsze instynktownie wyczuwała

jego obecność. Przecież nie musiała oglądać własnych pośladeków, żeby wiedzieć, że tyłek wciąż jest na miejscu. A teraz miała takie uczucie, jakby coś jej amputowano. Miejsce psa zajęła pustka, jakby... jakby odszedł na zawsze. To dlatego była taka poirytowana, dlatego ten nadęty czarodziej grał jej na nerwach, choć jeśli dobrze się zastanović, próbował tylko być w jakiś koślawy sposób uprzejmy, i dlatego była tak wściekła na dowódcę Siódmego. Wygrała tuzin butelek wina, lecz oddałaby dziesięć razy więcej, by znów poczuć tą niewidzialną obecność.

— Co się dzieje?

Daghena podjechała bliżej, wlepiając w nią spojrzenie swoich czarnych, lekko skośnych oczu.

— Nic.

— Naprawdę? Przecież widzę. Złe przeczucia?

Dłuższą chwilę jechały w milczeniu, a Dag nie nalegała na odpowiedź. To zaleta spokojnego stępa przez rozległy step, prosta rozmowa może rozciągnąć się na długie godziny i wiele mil. Nie ma potrzeby się spieszyć.

Wreszcie Kailean powoli skinęła głową. Nie chodziło tylko o Berdetha. Owszem, miała złe przeczucia, ale nie potrafiła ich sprecyzować.

— A ty? Czy te twoje cudowne plemienne ozdóbki coś mówią? — zapytała.

Daghena w milczeniu potarła kawałek kości, który miała zawieszony na szyi.

— Widziałaś kiedyś Wielki Bezdech?

Chyba zaczynała się rozmowa polegająca na wymianie pytań.

— Nie — odpowiedziała. — Ale wuj opowiadał mi o tym.

Wielki Bezdech, bezwietrzny całun, cisza przed burzą. Różnie to nazywano. Gdy na stepach zaczynał się sezon huraganów i wichur, raz na kilkanaście lat pojawiała się trąba powietrzna, która nosiła miano niszczycielki miast. To był prawdziwy potwór, potrafiący mieć u podstawy dwieście jardów średnicy i wkręcający się w niebo z taką furją, że wydawało się, iż sam firmament trzeszczy. I ponoć jej pojawienie się zawsze poprzedzał moment, gdy wszystko spowijała absolutna cisza. Zwierzęta i owady uciekały lub chowały się do najgłębszych nor, powietrze zastygało, świat zamierał w bezruchu. Wielki Bezdech.

— Coś takiego czuję od jakiegoś czasu, Kailean. Jakby w każdej chwili niebo miało mi się zwalić na głowę.

W oczach koczowniczkii nie dostrzegła ani śladu uśmiechu. Daghena martwiła się, i to bardzo. Kailean zamruwała i po raz pierwszy od trzech dni przyjrzała się uważnie towarzyszom. Kocimiętka jechał lekko przygarbiony, a spięty był tak, że bicepsy omal nie rozsadały mu ogniów kolczugi. Lea, drobna i niesforna Lea, która wygrała wyścig i która zazwyczaj uprzykrzała im każdą podróż nieustanną paplaniną, nie odezwała się od chwili, gdy opuścili stanicę, a w siodle siedziała tak, jakby chciała puścić swojego prędkonogiego konika w cwał. Faylen, jeden z najlepszych rębajłów w czaardanie, założył tarczę na ramię, a miecz trzymał oparty o łęk siodła. Landeh brzdąkał od niechcenia na cięciwie, przytrzymując dwoma palcami założoną na nią strzałę. Topór Niiara kołysał się zawieszony na pętli u jego nadgarstka. Cholera jasna, ona sama trzymała szablę w dłoni, a przecież byli w Imperium i spokojnie wracali do domu.

Spojrzała na Daghene. Jej przyjaciółka zamiast zwyczajowej kurtki założyła ewelar, charakterystyczny dla swojego plemienia skórzany pancerz, zrobiony z prze-

platających się pasów utwardzonej skóry wzmocnionych guzami z brązu. Widziała ją tak uzbrojoną może ze trzy razy. Psiakrew, ona sama założyła na przeszywanicę kolczugę z krótkimi rękawami. Zrobiła to zupełnie bezwiednie, tak jak bezwiednie bawiła się od jakiegoś czasu rękojeścią szabli.

— No nareszcie. — Dag uśmiechnęła się łobuzersko. — A już myślałam, że prześpisz całą zabawę.

— Jaka zabawę?

Czarne oczy otworzyły się szerzej.

— Kailean — powiedziała cicho. — Zanim wjechaliśmy do stancy, kha-dar zebrał czaardan i powiedział, że będziemy tu nie dłużej niż trzy dni, żebyśmy nie wdawali się w pijatyki i niczemu nie dziwili. I że każdy, kto chce, może zostać w stancy, gdy będziemy ją opuszczać, bo droga powrotna może być niebezpieczna. Pamiętasz?

To było pewnie wtedy, gdy zatrzymali się pół mili przed obozem. Chwilę wcześniej poczuła, że towarzysząca jej od lat obecność Berdetha znikła. Wszyscy stali w kręgu, Laskolnyk coś mówił, a ona rozpaczliwie sięgała umysłem we wszystkie strony.

— Pamiętam — potwierdziła spokojnie. — Po prostu trochę się martwię. Jak myślisz, o co tu chodzi?

— A bo ja wiem? — Daghena wzruszyła ramionami. — Ale będziemy rozbijać obóz za rozstajami i wtedy pewnie kha-dar trochę nas oświeci. Na razie miej oczy otwarte.

Na postój wybrali małą nieckę. Przypominała bardziej dziurę w ziemi niż zapewniający schronienie jar, ale wystarczyła. Osłaniała ich od wiatru, a jeśli rozpała ogniska, nawet te niemal niewidoczne i niedymiące stepowe

ogniska, żadna zdradziecka iskra nie ujawni ich pozycji nieproszonym gościom.

Laskolnyk wjechał do niej pierwszy, zatrzymał się pośrodku i odwrócił ku oddziałowi. Przypatrywał się przez chwilę każdemu z osobna.

— Stąd do stacyjny są cztery mile. Jeśli ktoś czegoś zapomniał, może wrócić.

Nikt się nie ruszył.

— Dobrze. — Kha-dar skinął głową. — O świcie zapytam jeszcze raz. Więc do roboty. Nocujemy tutaj, ruszamy, zanim słońce wzejdzie. Warty po sześciu ludzi, Kocimiętka i Ryuta wyznaczą kolejność. Broń pod ręką, nie sądzę, żeby już zaczęły się kłopoty, ale trzeba i z tym się liczyć.

Daghena uniosła rękę.

— Jakie kłopoty, kha-dar?

— Dojdziemy do tego, córuchna, po kolei. Konie rozkubaczyć, nakarmić i napoić. Tylko dwa ogniska. Tylko przez godzinę. Potem zbiórka.

Opuszczając siodło, Kailean sięgnęła umysłem wokół. Nic, pustka. Straciła Berdetha.

Następną godzinę zajęły jej normalne, obozowe czynności. Zdjęła siodło, wyczyściła konia, nałożyła mu na pysk worek z owsem. Potem pomogła Lei wykopać dołek, w którego głębi rozpały niewielkie ognisko. Suszony koński nawóz palił się wolno, niemal nie dając dymu. Ustawiły nad nim napełniony wodą kociołek, po czym wrzuciły do niego kilka garści suszonego mięsa i ziół. Noc nie zapowiadała się zimna, ale rozgrzać się przed noclegiem na ziemi zawsze było warto.

Potem Laskolnyk rzucił kilka słów i cały czaardan zgromadził się znów wokół niego. Kailean, grzejąc dłonie na kubku z zupą, wpatrywała się w dowódcę.

— No dobra, dzieci. — Mężczyzna błysnął zębami. — Pora na wyjaśnienie. Gdy tu stoimy, Yawenyr Dziecię Koni, Ojciec Wojny Se-kohlandczyków, ten stary skurwiel, który upuścił nam tyle krwi, umiera.

Prawie wypuściła kubek z rąk. Yawenyr umiera. To... to niemal niemożliwe. Ojciec Wojny był zawsze, odkąd pamiętała. Żył gdzieś tam na wschodzie, w namiocie ze złoczonego jedwabiu, skąd wysyłał konne zagony, żeby łupiły i mordowały. W dzieciństwie wyobrażała go sobie jako olbrzymiego, tłustego jak wieprz, siedzącego na stole poduszek potwora, który na śniadanie zjada pieczeń z meekhańskich dzieci. Później to wyobrażenie niewiele się zmieniło. Yawenyr był... stały, niezmienny jak wschody i zachody słońca. Wiadomość, że jest zwykłym śmiertelnikiem, który może umrzeć jak wszyscy inni, była prawie niewiarygodna.

— Suczy syn musi mieć pod dziewięćdziesiątkę.

— Tak, Faylen, niespełna, ale nie wiemy ile dokładnie, bo pewnie sam nie pamięta, kiedy się urodził. — Kha-dar wykrzywił się ironicznie. — Zachorował już ponad rok temu i najpotężniejsi Żrebiarze nie potrafią mu pomóc. Ale w jego wieku to nic dziwnego. Co najważniejsze, to pewna wiadomość. Kilku ludzi umarło, żeby nam ją dostarczyć, bo przez ostatni rok wieści o chorobie Ojca Wojny były największą tajemnicą Żłotego Namiotu.

Laskolnyk odwrócił się do nich bokiem i zaczął spacerować. Trzy kroki w lewo, zwrot, trzy w prawo, zwrot. Przy dłuższych przemowach zawsze spacerował, czyli zanosił się na poważne wyjaśnienia.

— Ale trzy czy cztery miesiące temu plotka poszła w świat, a razem z nią kłopoty... — zawahał się, jakby nie wiedział, od czego teraz zacząć. Wreszcie stanął i wyciągnął przed siebie otwartą dłoń.

— Wiecie, że jest pięciu Synów Wojny. Amanewe Czerwony, Kaileo Hynu Lawyo, Kyh Danu Kreda, Zawyr Heru Lom z Klahhyrów i Sowynenn Dyrnih. — Po każdym nazwisku zaginał jeden palec. — Razem ta piątka tworzy wojenną pięść Yawenyra. Ale z dwoma Synami jest teraz kłopot. Amanewe to Glyndoi, jego plemię przyłączyło się do Se-kohlandczyków ponad czterdzieści lat temu. Sowynenn to półkrwi Kowenh, dowodzący tym, co zostało z plemion mieszkających wcześniej na naszej granicy. Po pierwsze, nie są Se-kohlandczykami, lecz teoretycznie mają prawo ubiegać się o tytuł Ojca Wojny. Po drugie, obaj zawdzięczają pozycję Yawenyrowi, a niekoniecznie nowy Ojciec Wojny nadal będzie chciał uznać ich za Synów. Po trzecie, serdecznie się nienawidzą z pozostałymi dowódcami.

Przerwał i znów zaczął spacerować. Kailean uśmiechnęła się pod nosem – co jak co, ale mówcą Laskolnyk był kiepskim. Jeśli czegoś nie lubił bardziej od długiej gadaniny, to chyba tylko sytuacji, gdy sam musiał przemawiać.

— Wszyscy wiecie, jak to u nich wygląda – Ojciec Wojny i pięciu Synów Wojny – podział jasny i prosty. On trzyma wszystko w garści, oni rządzą na podległych terenach, a w czasie wojen dowodzą wielkimi zagonami. Synowie Wojny to tytuł honorowy, a gdy Ojciec Wojny umiera, to właśnie spośród nich wybiera się następcę. A czasem wybiera ten, kto ostatni ustoi na nogach, trzymając okrwawiony nóż w ręce. Rozumiecie?

Przez chwilę panowała cisza.

— Będą się rżnąć? — Daghena rzuciła pytanie lekko, jakby chodziło o zabawę niesfornych dzieci.

Laskolnyk zatrzymał się w pół kroku.

— Tego się spodziewamy... Spodziewamy się walki między Synami Wojny, gdy tylko nad Złotym Namiotem pojawi się złamana strzała. A potem, gdy wszystko ucichnie, a zwycięzca wytrze nóż o szaty pokonanych, spodziewamy się, że spróbuje ruszyć na zachód. Bo nic tak nie cementuje władzy wśród koczowników, jak dobra, przynosząca dużo łupów wojna — zamilkł i nawet w ciemności widać było, jak zacisnął szczęki.

Wszyscy czekali. Wreszcie Kocięta chrząknął.

— A co na to Ojciec Pokoju? I Synowie Pokoju? Czy oni nie powinni mieć czegoś do powiedzenia w tej sprawie?

— Ojciec Pokoju nie opuścił Złotego Namiotu od trzydziestu lat. Synowie Pokoju również. Odsuwając ich od władzy, Yawenyr wykorzystuje fakt, że nigdy nie zawarł formalnego pokoju z Imperium. Nie wiemy nawet, czy jeszcze żyją. Gdy koczownicy ruszą, Meekhan musi sobie poradzić sam.

— Ale to nie my będziemy ich zatrzymywać, prawda kha-dar? Trochę nas mało.

Dowódca uśmiechnął się pod wąsem.

— Jeśli będzie trzeba, to cóż, służba. A poza tym, po co ściągamy tu gwardyjskie pułki? Pokazujemy kły i mamy nadzieję, że to wystarczy. Ale tu, na Wschodzie, gra rozpoczęła się już jakiś czas temu. Synowie Wojny przemieszczają wierne sobie oddziały tak, żeby jak najszybciej mogły skoczyć przeciwnikom do gardła. Skrzydła Błyskawic, Żrebiarze i pomniejsi szamani fruwać tam i z powrotem po całych Stepach. A najzabawniejsze, że wszyscy wszystkich zapewniają o swoich dobrych zamiarach. — Uśmiechnął się szerzej. — Najbliżej granicy ma wojska Sowynenn Dyrnih, on też jest najslabszy z Synów Wojny, dowodzi luźną zbieraniną na wpół zhołdowanych

przez Yawenyra szczepów i plemion. Sądzymy, że ma jakieś trzy tysiące wiernych sobie Błyskawic, dziesięć–dwanaście tysięcy lekkiej jazdy, kilku Żrebiarzy i garść plemiennych szamanów. On właściwie może być pewien, że następca Yawenyra, ktokolwiek by to był, przeciągnie jego truchło przez całe Stepy, bo reszta braci naprawdę go nie lubi. Zbroi się więc na potęgę, śle na wszystkie strony posłańców, szuka sojuszników. Nie może liczyć na tytuł Ojca Wojny, więc najchętniej oderwałby od se-kohlandzkich ziem teren na sto mil na wschód od Amerthy i ogłosił się wielkim wodzem. Ale, jak mówiłem, gra się już toczy, a on nie jest jedynym graczem.

Znów przerwał, jakby zapędził się w miejsce, z którego nie wiedział, jak ruszyć. Sapnął i zamachał rękami z irytacją.

— Jaka gra, kha-dar? — Daghena uznała za konieczne przyjść mu z pomocą.

— Któryś z braci umieścił mu za plecami nóż. Nie wiemy który, ale sądzymy, że gdy tylko zacznie się zabawa, Sowynenn pierwszy wyzionie ducha. A my chcemy ten nóż wytrącić z ręki, która go trzyma.

Zapanowała chwila ciszy. Najwyraźniej Laskolnyk uznał, że powiedział wszystko. I najwyraźniej był równie kiepskim mówcą, jak dobrym kawalerzystą.

— Wybacz, kha-dar. — Kocimiętka chrząknął ponownie, przestąpił z nogi na nogę. — Ale nie wszystko zrozumiałem. Więc po kolei, czego szukamy?

Dowódca obrzucił go ponurym spojrzeniem.

— Chcesz się zamienić, Sarden?

— Właściwie nie, kha-dar. Ale nie jestem dziś zbyt bystry, więc chcę się upewnić, czy wszystko dobrze zrozumiałem. Szykuje się wojna domowa między koczownikami?

— Tak.

— Lada moment?

— Tak.

— To, co się dziś wydarzyło, ma z tym związek?

Trafił im się kolejny dobry mówca.

— Tak.

Czaardan zaszemrał i umilkł. To, co się wydarzyło... całe to wypędzenie ze stancy było jakimś... przedstawieniem?

— O co w tym chodzi?

— Sądzymy, że w Lanwaren ukrywa się silny oddział Błyskawic, najpewniej należący do Zawyra Heru Loma, osłaniający dwóch, a najpewniej trzech Żrebiarzy, który ma za zadanie uderzyć na Sowynenna w chwili, gdy Synowie już oficjalnie ruszą na siebie. Sowynenn przesunął swoje oddziały na wschód swoich ziem, licząc na to, że Imperium osłoni mu plecy, ale Błyskawice Zawyra przemknęły się jakoś i siedzą właśnie tutaj. Gdy ruszą, będą mieli przed sobą pustą drogę i z łatwością go dopadną.

— Jak silny jest ten oddział?

— Pięć, może sześć a'keerów.

— Skąd o tym wiadomo?

Kailean nie zauważyła, kto zapytał, ale wszystkie głowy potaknęły niemal jednocześnie. Laskolnyk wzruszył ramionami.

— Co do liczebności, to nie wiemy na pewno. Wojskowi czarodzieje coś wyczuwają, zawirowania, ostrożne poruszenia w pobliskich Źródłach. Takie tam gadanie magów. Ale przez ostatnie cztery miesiące w pobliżu Lanwaren zaginęły cztery patrole wysłane ze stancy. Dwa składały się z gwardii, dwa z nieregularnych. Ostatni liczył czterdzieści koni, czaardan Kaleha-kon-Bertysa, a on

miął u siebie maga. Nie ma w okolicy tak silnej bandy, żeby ogarnąć i wyciąć w pień taki oddział, nie mówiąc o tych wcześniejszych. — Znow zaczął spacerować. — Łącznie straciliśmy ponad sto koni. Ktoś by uciekł, ktoś się wymknął, chyba że ścigających było naprawdę dużo i mieli pomoc czarowników. Dlatego spodziewamy się pięciu, sześciu a'keerów, ale nie więcej, bo okolica nie wyżywi większej liczby koni, a nie było napadów na kupców czy pobliskie wsie. I spodziewamy się Błyskawic, bo do takiej misji ja sam wybrałbym najlepszych z najlepszych. Sami Jeźdźcy Burzy nie znaczą aż tak wiele, ale Żrebiarze...

Nie musiał kończyć. Szamani koczowników byli wredni i potężni.

— Sześć a'keerów. — Kocimiętka skinął głową, jakby coś liczył. — Siedemset–osiemset koni. Trzech Żrebiarzy. Hm, nie chcę narzekać, kha-dar, ale nadal nas mało. Połkną nas jak wilk mysz. W kwadrans.

— Nie, jeśli trochę ich przegonimy. Dlatego ci, którzy zdecydują się pojechać, mają mieć odciążone konie – niech zostawia tu juki, paszę, żywność, zapasowe koce i ubrania. Wziąć tylko trochę wody i kilka garści owsa.

— Żaden koń nie prześcignie strzały.

Laskolnyk zatrzymał się i dziwnie uśmiechnął.

— Nie sądzę, żeby strzelali, dzieci...

Po nerwowej, niespokojnej nocy ruszyli rankiem wprost między wzgórze. Tuż przed świtem Laskolnyk zebrał wszystkich i jeszcze raz powtórzył, że ci, którzy chcą, mogą wrócić. Odpowiedziało mu kilka kpiących parsknięć. Czaardan to czaardan, nie porzuca się go, żeby chronić własną skórę.

Jechali stępą, żeby spokojnie rozgrzać konie, z bronią w rękę i czujkami rozstawionymi z przodu i szeroko po bokach. Oddział połykał milę za milą i wydawało się, że przed wieczorem spokojnie miną Lanwaren i wyjadą na trakt do Lithrew.

Byli mniej więcej w połowie drogi, gdy jadący z przodu Janne Newaryw zatrzymał się i uniósł lewą dłoń. Kłopoty.

Wjechali na szczyt wzgórza i już wiedzieli, że jest źle. Jakies trzysta jardów przed nimi z mgły zalegającej płytką nieckę zaczęły się wynurzać karne szyki jazdy. Długie lance, wysokie hełmy zwieńczone końskim włosiem, migdałowe tarcze. Błyskawice Zawyra z Klahhyrów. Dokładnie tak, jak przewidywał Laskolnyk.

— Jeden. Dwa. Trzy — Kocimiętka liczył półgłosem. — Co najmniej trzy a'keery. Dobre czterysta koni. Tuż pod nosem Siódmego.

Mężczyzna uśmiechnął się nagle szeroko, z trochę dzikim grymasem.

— Przypomnijcie mi, dlaczego to robię?

— Pewnie dlatego, że jesteś głupi i szalony. — Kailean wsunęła szablę do pochwy i sięgnęła po łuk. Okręciła wodze wokół łęku. — Jak my wszyscy.

— To dobrze. Już się bałem, że to z powodu jakiejś durnej odwagi, bohaterstwa czy innego choróbska.

Koczownicy ruszyli w ich stronę.

Laskolnyk włożył gwizdek do ust. Odwrot. Luźno. Galop.

Zawrócili i pomknęli przed siebie.

Trzysta jardów, które dzieliło ich od Se-kohlandczyków, to sporo, zważywszy, że napastnicy musieli je przebyć pod górkę, a ich konie z pewnością nie były rozgrzane. Dlatego gdy wreszcie wynurzyli się zza wzgórza,

odległość dzieląca oba oddziały wynosiła ponad ćwierć mili. Mimo to Błyskawice nie zrezygnowały. Zagon ruszył ich śladem, jego skrzydła od razu rozciągnęły się i wygięły w szeroki półksiężyc. Kailean rzuciła okiem za siebie. Zapowiadał się długi, wyczerpujący pościg, w którym zwycięzcą zostanie ten, kogo wierzchowce zachowają więcej sił.

Guardia Zawyra była przygotowana do takiej właśnie pogoni. Konie nie miały założonych pikowanych pancerzy i jeśli dobrze widziała, do siodeł nie przytroczono żadnych sakw ani innych pakunków. Wiedzieli, że będą ścigać lekką jazdę, i przygotowali się na to. A jeśli tak, to zapewne i konie dobrali najlepsze do takich gonitw.

A to znaczyło, że dobrze wiedzieli, kogo będą ścigać. Zgrzytnęła zębami. Laskolnyk znów miał rację.

— Dlaczego nie poczęstują nas strzałami?

Dziwne, ale Kocimiętka wyglądał na szczerze zaintrygowanego. Jakby pytanie dotyczyło kogoś innego.

— Bo będą wiedzieli, kogo ścigają. I za wszelką cenę chcą go dopaść żywego.

— Niby dlaczego?

— Bo ja, Sarden, to Genno Laskolnyk, generał Pierwszej Armii Konnej, zwycięzca w bitwie pod Meekhanem, Szary Wilk — kha-dar mówił takim tonem, jakby chodziło o innego Genna Laskolnyka. — I ktokolwiek dowodzi Błyskawicami Zawyra, wie, że w ten sposób może zyskać sławę, która przetrwa na Stepach sto lat, bo pogromca Szarego Wilka będzie nieśmiertelny. Gdyby napotkali zwykły podjazd, mogliby go zignorować, ale takiej pokusie się nie oprą. A jeśli schwytają mnie żywego... — wzruszył ramionami. — Moje imię wciąż ma wystarcza-

jącą siłę, żeby nawet Imperium się z nim liczyło. Mając Laskolnyka, można wynegocjować okup albo nawet neutralność Meekhanu. A w ostateczności postarać się, żebym długo i boleśnie umierał.

— Oby tylko nas nie przegapili, kha-dar.

— Nie. Nie przegapią. Postawię własnego konia, że Błyskawice mają kogoś w stancy.

Czaardan zaszemrał.

— Cicho. — Laskolnyk uniósł rękę. — Jak mówiłem, przez ostatnie miesiące straciliśmy w pobliżu wzgórz cztery patrole. Ale dowódca Siódmego wysłał ich tam ponad trzydzieści. Reszta nie natknęła się nawet na końskie bąki, nie mówiąc już o oddziale Błyskawic. Generał gon-Sawe zastanawiał się, dlaczego jedne oddziały znikły, a inne nie, i wyszło na to, że te, które zostały wybite, wjechały w Lanwaren przypadkiem. Wracając z objazdu albo błądząc po zmroku. Żołnierze nie znają jeszcze dobrze terenu, więc to możliwe. Wychodzi na to, że jeśli wysyłali patrol między wzgórz oficjalnie, to Błyskawice o tym wiedziały i się kryły, jeśli jednak jakiś wjechał tam niespodziewanie, to mógł się na nich natknąć i wtedy go wyrzynie. W stancy oprócz gwardii jest około siedem setek nieregularnych i ze trzy setki pomocników, kucharzy, stajennych, nawet kilkunastu pastuchów, bo wojsko ma własne stado bydła, żeby nie brakowało świeżego mięsa. Nie dam głowy za żadnego z nich.

Zamilkł i powiódł wzrokiem wokół.

— To przedstawienie na wzgórzu było po to, żeby wszyscy, od dowódców chorągwi po ostatniego pachółka, wiedzieli, że Genno Laskolnyk został wyrzucony ze stancy i pojechał do Lithrew. Przez Lanwaren. Nawet teraz nocujemy tutaj, żeby wiadomość na pewno dotarła

do dowódcy Błyskawic. Będą wiedzieli, kogo ścigają, zapewniam was.

Wyszczerzył się z dzikim grymasem.

— Więc łuki pójdą w ruch dopiero w ostateczności.

Obie grupy galopowały w dół wzgórza, rozpędzając się powoli. Przed sobą miały płytką dolinkę i kolejne wzniesienie. Tu odległość między ściganymi i ścigającymi powinna się zmniejszyć, bo przez chwilę to czaardan Laskolnyka będzie galopował pod górę, a koczownicy zapewne puszczą konie w pełny cwał. To była dobra okazja, żeby rozgrzać wierzchowce.

Z przodu rozległo się kilka ostrych gwizdów. Łuki. Igły.

Uśmiechnęła się pod nosem. Kha-dar czasem powtarzał najzupełniej oczywiste rzeczy.

Igły i szydła. Jak większość stepowych jeźdźców, miała dwa kołczany z dwoma rodzajami strzał. Pierwszy zawierał lekkie strzały o szerokich, długich i ostrych jak brzytwy grotach, drugi – ciężkie, masywniejsze niemal o połowę, z grotami czworokątnymi i krótkimi. Lekkie – igły, niosły skutecznie na ponad trzysta jardów, ciężkie – szydła, nie więcej niż sto pięćdziesiąt. Pierwsze skutecznie raniły konie i ludzi, drugie z pięćdziesięciu jardów dziurawiły kołczugę, a człowieka bez zbroi przeszywały na wylot. Igły do klucia, szydła do przebijania, jak powiadano na Stepach. To, że Błyskawice zdjęły swoim koniom pikowane pancerze, mogło się okazać błędem.

Czaardan przemknął dnem dolinki i zaczął pokonywać niezbyt strome wzgórze. Musiał jednak zwolnić, żeby konie nie straciły zbyt wiele sił. Jeśli okolica była

taka jak do tej pory, to czekało ich jeszcze wiele podobnych wzgórz i dolin.

Za plecami usłyszała tętent kopyt. To ścigające ich a'keery poszły w cwał, chcąc maksymalnie zmniejszyć odległość i nabrać pędu do pokonania jak największej części wzniesienia. Obejrzała się. Półksiężyc stracił kształt, jego lewe skrzydło wyraźnie zostawało w tyle. Albo trafili na trudniejszy teren, albo dowódca a'keeru wiedział coś, o czym oni nie mieli pojęcia.

Rozległy się dwa krótkie gwizdy, zakończone przeciągłym trelem. W prawo. Cwał.

Skręcili jednocześnie jak stado ptaków w powietrzu i pochylili się nad końskimi szyjami. Pomknęli razem, dostosowując prędkość swoich wierzchowców do konia Laskolnyka. Wiatr na twarzy, stukot kopyt, mięśnie wierzchowca pracujące tak, jakby ten cwał miał zanieść ją na koniec świata. Mimo grozy sytuacji, mimo kilkuset śmiertelnych wrogów siedzących im na karku, Kailean miała ochotę wrzeszczeć z dzikiej radości.

Och! Jak ona to kochała!

Gnali na łeb, na szyję w bok stoku, a prawe skrzydło pościgu zbliżało się ku nim nieubłaganie. Już niemal dało się dostrzec twarze, mogła je sobie wyobrazić: zacięte, skupione, bezlitosne. Dwieście jardów.

Gwizd. Teraz!

Napięła łuk i w pełnym cwale, w chwili, gdy wszystkie kopyta Toryna oderwały się od ziemi, posłała im strzałę. Podobnie jak reszta czaardanu. Laskolnyk nigdy nie nalegał, żeby wszyscy jego jeźdźcy trafiali z siodła z odległości stu kroków w cel wielkości dłoni, jak to podobno robili najlepsi konni łucznicy se-kohlandzkich zagonów. Wystarczyło mu, że trafią w konia.

Efekt był taki, jak się spodziewała po igłach, kilka koni zarżało i zwolniło, kilka innych potknęło się, dwa czy trzy nie utrzymały równowagi i w pełnym cwale zwały się na głowy. Wątpiła, żeby po takim upadku którykolwiek wstał.

Minęli początek pościgu w odległości jakichś stu pięćdziesięciu jardów i na gwizdek skręcili w lewo, pod górę. W tej samej chwili zza wzgórza, w miejscu, ku któremu zmierzali pierwotnie, wypadła co najmniej setka koczowników. Gdyby Laskolnyk nie rozkazał im skręcić, wpakowaliby się wprost na ich arkany.

Cztery, teraz co najmniej cztery a'keery brały udział w pogoni i nie wyglądało na to, żeby miały zamiar odpuścić. Czaardan wyskoczył na grzbiet wzgórza i pomknął dalej. Zaczynał się morderczy wyścig.

Laskolnyk powiódł wzrokiem dookoła, zatrzymując go na mgnienie oka na każdej twarzy.

— Będą nas ścigać tak długo, aż padną nam konie. Są tu od miesiąca, może nawet półtora, więc pewnie nieźle poznali wzgórza. Nie mam zamiaru zmuszać nikogo, żeby brał udział w tej zabawie, bo istnieje ryzyko, że im się uda. I...

— Po co się z nimi ganiać, kha-dar? Nie lepiej przeczesać Lanwaren wojskiem?

— Czym, Dagghena? Jednym pułkiem i garścią czaardanów, które tu mamy? Wzgórza to ponad siedemset mil kwadratowych. Sam potrzebowałbym dwudziestu tysięcy koni, żeby dokładnie przeszukać ten obszar, a i wtedy nie byłbym pewien, czy mi się uda. Gdy na Stepach wrze, nie ściągnę tu całej armii konnej, żeby wytropić kilka a'keerów. Nie. Musimy urządzić polowanie z przynętą.

A przynętą będziemy my — wykrzywił się. — Szykujcie się na długi pościg, dzieci.

Nie sądziła, że to potrwa aż tak długo.

Gnali przez wzgórza i doliny, przeskakiwali jakieś rachityczne strugi, klaskali kopytami po błocku u ich brzegów, by za chwilę przedzierać się przez chaszczę i wyschnięte badyle, wzbijając za sobą sięgający nieba tuman kurzu. I tak raz za razem. Ścigający nie zamierzali rezygnować.

Kailean sięgnęła do kołczanu po ostatnią igłę i rzuciła wzrokiem na wierzchowca Dagheny, Lei, a potem na resztę czaardanu. Mieli dobre konie, najlepsze, jakie można było kupić za pieniądze, zdobyć w walce lub ukraść, takie, którym niejednokrotnie powierzali własne życie i które im to ich życie niejedną raz wyniosły z oparów. Lecz to mogło nie wystarczyć. To nie był teren, na którym dało się po prostu puścić w cwał, runąć naprzód i niech zwycięży szybszy. Cholerne wzgórza, porośnięte krzakami, parszywe, wypełnione podmokłymi trawami doliny między nimi, i to ciągle w górę, w dół, w górę, w dół, i znów w górę. Taki pościg zabiłby każdego słabszego konia, ale i niektóre z ich wierzchowców zaczynały już rzezić. Za to konie Se-kohlandczyków...

Kailean nie patrzyła już w tył, bo sposób, w jaki pędziły te zwierzęta, był bardziej niż przerażający. Konie wyglądały, jakby się nie męczyły. Gnały naprzód, trzymając szyk, i czy to cwałując na dno doliny, czy galopując na szczyt kolejnego wzgórza, wyglądały, jakby dopiero co rozpoczęły gonitwę. Ani jeden się nie potknął, nie dyszał, sierść żadnego nie lepiła się od spienionego potu.

Za to im Se-kohlandzycy nie pozwalali odetchnąć.

Co chwilę od głównej grupy odrywał się mniejszy oddział i pędząc cwałem, próbował ogarnąć czaardan. Oni wtedy również puszczali konie z największą prędkością, grożącą potknięciem i skręceniem karku, więc po chwili ścigający rezygnowali. A jeśli nie, uciekinierzy odwracali się i zasypywali ich strzałami, co zazwyczaj źle się kończyło dla kilku Błyskawic, i wtedy dopiero ścigająca grupka zwalniała. Lecz zanim czaardan zdążył nacieszyć się tym chwilowym zwycięstwem, kolejna wyrwała się do przodu i siadała im na kark. I znów rozpaczliwy cwał i bezgłośna modlitwa, by żadne z kopyt nie trafiło na króliczą norę albo ostry kamień. I znów chwila przerwy, gdy Jeźdźcy Burzy odpuszczali. I tak raz za razem. Dowódca koczowników mógł rzucać do takich pościgów coraz to nowe oddziały, zmieniać je, oszczędzając konie pozostałych, ale oni nie mieli takich możliwości. Szarpane tempo, cwał, wściekły galop, cwał, chwila oddechu, znów cwał – to było zabójcze. Wkrótce nadejdzie czas, gdy ich konie nie wykrzeszą już z siebie ani odrobiny sił. Dopadnie ich wtedy wysunięta najdalej grupa jeźdźców, a chwilę po niej – reszta.

I będą ich brać żywcem.

Bo mimo że ostrzeliwali się ostro i skutecznie, a rodowe duchy Verdanno jej świadkiem, że ich strzały wyeliminowały już kilkadziesiąt koni, Se-kohlandczycy nie odpłacali im tym samym. A przecież mieli łuki i z pewnością potrafili ich używać. Lecz nie strzelali, a gdy poprzednim razem rzuciła okiem w tył, zobaczyła, że kilku jeźdźców trzyma w rękach arkany lub długie, zakończone pętlami lance. Tak jak twierdził kha-dar, chcieli ich mieć całych.

Ta świadomość była jak lodowy robak pełzający wzdłuż kręgosłupa. Chodziło o Laskolnyka, o Szarego Wilka, człowieka, który zatrzymał se-kohlandzkie konne

armie u wrót Meekhanu, rozbił je i pogał z powrotem na wschód. To on stanowił ich cel. Był bezcenny, ale tylko żywy. Natomiast jeśli ktoś inny wpadnie im jeszcze w ręce...

Wszystkie te myśli przemknęły jej przez głowę w tempie wypuszczonej z łuku strzały. Spojrzała na Daghenę, ta chyba musiała myśleć o tym samym, bo zacisnęła lewą dłoń w pięść i dotknęła ust, a potem piersi, uśmiechając się wyzywająco. Ten prosty gest sprawił, że Kailean coś ścisnęło za gardło. *Do ostatniego tchu, do ostatniego uderzenia serca.* Spojrzała Dag w oczy i skinęła głową.

Tylko powiedz kiedy, siostró.

Kiedy zawrócimy konie i runiemy w tył, żeby wbić się w pędzącą za nami ścianę żelaza i dać pozostałym kilka chwil więcej.

Bo nie miała wątpliwości, że tę gonitwę miał przeżyć tylko Laskolnyk. Reszta czaardanu stanie się co najwyżej rozrywką dla znudzonych wojowników. Wyszczrzyła się dziko. Da im więcej rozrywki, niżby pragnęli.

Gdyby był za mną Berdeth, mogłoby być jej tyle, że śniłaby się później niejednemu po nocach, pomyślała. Ale może to i lepiej, że znikł. Mimo wszystko byłoby to trochę samolubne, zabierać go na ostatnią przejażdżkę, wiedząc, że będzie krótka i bolesna.

Gwizdek z przodu oderwał ją od ponurych myśli.

Uwaga.

Cwał!

Zdumiewające, ale konie jakby na niewidzialny sygnał same wyciągnęły się w szaleńczym biegu. Ruszyli pod górkę, szczyt zbliżał się w obłądnym tempie, przeskoczyli go i...

Prawo! Prawo! Prawo!

Skręcili tuż za wzniesieniem, na kilkanaście sekund zasłonięci przed wzrokiem ścigających. Kailean spojrziała w stronę, gdzie ich pędzono, następna dolinka, następne wzgórze. Zaczynała mieć wrażenie, że Se-kohlandczycy gnają ich w kółko.

Lecz teraz oni cwałowali na łeb, na szyję w poprzek zbocza. I reagowali na kolejne rozkazy. Klin. Wąsko. Szable.

Jadący w luźnym szyku czaardan zwarł formację, skupił się w podobny do grotu włócznie kształt. Och, przemknęło jej przez głowę, ależ byli w tym dobrzy, Laskolnyk nie nalegał, żeby mieć u siebie najlepszych szermierzy czy łuczników, ale jeśli chodziło o manewry, kazał im je ćwiczyć aż do znudzenia. A oni ćwiczyli, bo byli w czaardanie Szarego Wilka. I teraz w niczym nie ustępowali cesarskiej gwardii czy samym Błyskawicom. Zanim przebyli sto jardów, w pełnym cwale zmienili się z jadącej luźno grupy w twardy i zwarty klin z dwoma jeźdźcami z przodu i sześcioma u podstawy.

Sunęli teraz strzemię w strzemię, tak że od pierwszego od ostatniego wierzchowca można było przejść po końskich grzbietach, a żaden nie przesunąłby się nawet o cal. Na czele w pierwszej dziesiątce znaleźli się Laskolnyk, Kocimiętka, Faylen, Niiar i kilku innych rębajłów, dosiadających wielkich i masywnych koni. Reszta skupiła się za nimi. Łuki powędrowały do łubi, w dłoniach znalazły się szable, miecze i topory. Toryn wyszczerzył zęby, niezadowolony z tak ciasnego szyku, ale krótkim szarpnięciem wodzy przywołała go do porządku. Nie będzie czasu na zabawę.

Prawe skrzydło se-kohlandzkiego półksiężyca wypadło zza wzgórze w dość luźnej formacji. Zapewne koczownicy spodziewali się kolejny raz ujrzeć ofiary galopujące

w dół, by po chwili mozolnie, z coraz większym trudem pokonywać kolejne wzniesienie.

Cwałujący w poprzek zbocza czaardan uderzył prostopadle w Błyskawice jak stalowy młot w kilka luźno ułożonych cegieł. Te konie, które znalazły się na wprost uciekających, zostały po prostu stratowane razem z jeźdźcami – w chwili starcia oddział Laskolnyka miał siłę, pęd i masę dwudziestu czterech koni jadących bok w bok. Tylko kamienny mur mógłby go zatrzymać. Reszta była krótkim, trwającym dosłownie mgnienie oka wirem, gdy klin przebijał się na zewnątrz. Żaden z Jeźdźców Burzy nie miał w ręku szabli czy topora. Ci, którzy jechali na skrzydle, mieli długie lance zakończone pętlami i arkany, zupełnie nieprzydatne w starciu twarzą w twarz. Kailean śmignęła szablą w bok, rozwalając ramię Se-kohlandczyka, który prawie wjechał w Toryna, chlasnęła łeb jakiegoś konia i już byli na zewnątrz. A gwizdek ponagłał.

Luźno! Szybciej! Szybciej! Szybciej!

Więc pochylili się w siodłach i popędzili w dzikim, szalonym cwale.

Już ostatnim, zrozumiała, widząc, jak jeden z koni się potyka, łapie równowagę i potyka znów. Sierść zwierzęcia błyszcząca, jakby ktoś wysmarował je oliwą. Jego jeździec, Janne Newaryw, był milczącym, łagodnym olbrzymem o flegmatycznym usposobieniu, który toporem potrafił machać jak trzcinką, i widziała już, jak rozwała nim hełmy i gruchocze tarcze. Miał jednak posturę zawodowego zapaśnika, więc jego koń niósł na grzbiecie dwa razy tyle co Toryn. Nawet od tak dzielnego wierzchowca nie dało się wymagać więcej.

Zderzyli się wzrokiem i przez chwilę poczuła uścisk kościstych palców na sercu. W spojrzeniu mężczyzny nie było nic poza akceptacją. Sam wybrał sobie los, bo poje-

chał za Gennem Laskolnykiem, i niczego nie żałował. Posłał jej smutny uśmiech, skinął głową gdzieś przed siebie i przyłożył lewą pięść do ust i piersi.

Do ostatniego tchu i uderzenia serca.

Wiedziała już, kto pierwszy zawróci konia, żeby dać reszcie kilka chwil więcej.

Za nimi zapanował chaos. Zaskoczyli koczowników, wymknęli się spomiędzy skrzydeł półksiężycy i umykali z pułapki. Część ścigających nie zorientowała się nawet, gdzie podział się łup. Gdy wyjechali zza wzgórza, zastali tylko pustą dolinę i poszarpane prawe skrzydło. Dowodzący a'keerami, kimkolwiek był, potrzebował kilku długich chwil, żeby zorientować się, co zaszło, i ruszyć w pogoń. A każda sekunda oddalała czaardan od pościgu.

Wydawało się, że po raz pierwszy mieli szansę.

Łoskot kopyt rozlegający się za plecami kazał się jej odwrócić. Przez chwilę gapiła się po prostu w tył, niezdolna pojąć, co widzi.

Ścigające ich a'keery w idealnym szyku wypadły zza wzgórza i cwałowały za nimi. I to jak! Jakby konie dopiero co wystartowały do biegu po długim wypoczynku i odpowiedniej rozgrzewce. Nie znać było po nich wielu mil szaleńczej pogoni. Pomyślała, że się zamienili, że polująca na nich grupa została za wzgórzem, a to jakieś posiłki, w ostatniej chwili dosłane dowódcy Błyskawic. To była absurdalna, lecz w jakiś sposób kojąca myśl, bo wynikało z niej, że mieli do czynienia z żywymi ludźmi i prawdziwymi zwierzętami, a nie bestiami zrodzonymi w głębinach Mroku. Natomiast jeśli to ten sam oddział, który rozpoczął oblławę... Równie dobrze mogli zawrócić już teraz całym czaardanem i wydać im ostatnią bitwę. Póki konie i ludzie mają choć trochę sił.

Koń Jannego Newarywa zarżał krótko i po raz kolejny się potknął. Mężczyzna wyprostował się w siodle, rozejrzał wokół, jakby ostatni raz pragnął nacieszyć oczy widokiem Stepów, i pieszczotliwym gestem pogłaskał wierzchowca po szyi. Sięgnął po uwiązane do łąku wodze.

Laskolnyk pojawił się nagle przy jego boku. Pochylił się, dotknął karku jabłkowitego ogiera Jannego i pokiwał głową. Uniósł gwizdek.

Galop! Luźno!

Złamali szyk i zwolnili, choć wydawało się to wbrew rozsądkowi.

Kłus.

Przez chwilę była pewna, że się przesłyszała. Podobnie musieli pomyśleć inni, bo czaardan nadal galopował.

Kłus!

Zwolniła, czując, jak pełzający jej po plecach lodowaty robal rozpuscita się w ogniu nagłej determinacji. A więc to już. Zaraz zawrócą konie i pocałują z powrotem, by uderzyć na Błyskawice twarzą w twarz, zamiast odpadać pojedynczo, w miarę jak ich konie będą tracić siły. Nie udało im się, ale przynajmniej nie odejdą bez walki.

Lecz niespodziewanie, w chwili, gdy odległość między oboma oddziałami wynosiła jakieś dwieście jardów, ścigający również wstrzymali konie i przeszli w galop, potem w kłus i stępa.

Laskolnyk zagwizdał. Stać!

Zatrzymali się. Jeźdźcy Burzy też.

— Jeszcze nie teraz, córuchna. — Dowódca wypluł gwizdek i uśmiechnął się do niej szeroko. — Jeszcze nie mają nas tam, gdzie chcą.

Zawrócili konie w kierunku Błyskawic, przez chwilę oba oddziały wpatrywały się w siebie, a ciszę wypełniało tylko chrapliwe, końskie dyszenie.

— Ilu zostało?

Z początku nie rozumiała, podobnie chyba jak reszta. Dopiero po chwili, gdy ogarnęła wzrokiem Se-kohlandczyków, dotarło do niej, że było ich jakby mniej. Za mało, nawet jeśli uwzględnić tych, którzy padli od strzał. Niespełna trzystu, a powinno być prawie pięć setek.

Kocimiętka rozejrzał się na boki.

— Gdzie reszta, kha-dar? Zachodzą nas ze skrzydeł?

— Nie. Reszta albo idzie pieszo, albo dobija własne konie. — Laskolnyk już się nie uśmiechał. — To *Gwent'ress* lub Szara Sieć. Słyszałem tylko o trzech Żrebiarzach, którzy potrafią splatać ten czar dla tak dużego oddziału.

— A ja o dwóch, kha-dar. I nie sądziłem, że kiedykolwiek zobaczę to na własne oczy. Zresztą nawet teraz ledwo w to wierzę.

W co, do cholery? Jaki czar pozwala koniom pędzić tyle mil bez żadnego zmęczenia? Miała ochotę wykrzyzczyć to pytanie, ale zacisnęła tylko zęby.

— Szara Sieć — dodał Kocimiętka. — Podobno tak widzą ją nasi czarodzieje, jako splątane, szare pasma, wiążące wszystkie konie oddziału. Gdybyśmy mieli tu maga, mógłby nawet powiedzieć, który z nich jest Węzłem. Który to Żrebiarz.

— Ale nie mamy, Sarden. Na razie wiemy tylko, że jeden Żrebiarz jest tam. — Laskolnyk wskazał na grupę Błyskawic, od której oderwał się właśnie pojedynczy jeździec. — To działa tak, dzieci. Masz sto koni, które pędzą cwałem. W chwili, gdy zaczynają słabnąć, czar ściąga z dziewięćdziesięciu pięciu zmęczenie i zruca

je na grzbiet ostatniej piątki. Te konie zazwyczaj giną od razu, pękają im serca albo łamią karki, przewracając się w pełnym cwale, ale reszta biegnie, jakby dopiero co wyszła ze stajni. Przy pięciu setkach koni pewnie trzeba zabić co najmniej dwadzieścia od razu, więc taką sieć powinno się stosować z umiarem, bo można w godzinę czy dwie dziesiątkować oddział. Dlatego oni też korzystają z okazji, żeby dać zwierzętom odpocząć.

Koczownik zbliżył się na odległość głosu.

— Heeej! — krzyknął i zamachał rękami.

— Zawsze to jakiś początek rozmowy — mruknął Laskolnyk i uniósł się w siodle. — Czego chcesz?!

— Porozmawiać!

Se-kohlandczyk miał chrapliwy głos i nieprzyjemny akcent.

— Podjedź bliżej.

Posłaniec ruszył ostrożnie w ich stronę. Ręce trzymał na widoku, z dala od broni. Kailean chrząknęła i wyduśliła półgębkiem:

— Po co wysyłają posła, kha-dar?

— Bo jeszcze nie zrezygnowali z planu, córuchna. Najpewniej jeszcze nie mają nas tam, gdzie chcieli. Chcesz się założyć, że gnają nas na pozostałych dwóch Żrebiarzy?

— A chcesz się założyć, kha-dar, że jutro wszędzie słońce? — Zmieniła temat. — Jak koń Jannego?

— Da radę. Jeszcze trochę. Twój też niech złapie oddech. I uśmiechaj się radośnie, bo nasz gość jest już blisko.

Koczownik podjechał powoli na jakieś dziesięć kroków. Siedział w siodle arogancko, w hełmie, co było poważnym naruszeniem stepowych zwyczajów. Zanim

się odezwał, zmierzył czaardan uważnym spojrzeniem, szczególnie przypatrując się koniom.

— Sewet Konu Kanor, mówca wolnych plemion — przedstawił się krótko. — Dobry bieg, Szary Wilku. Twój i twoich ludzi. Niejedną pieśń o nim zaśpiewają. Ale wszystko ma swój początek i ma swój koniec. Poddajcie się.

Kailean zgodnie z poleceniem wyszczerzyła się od ucha do ucha.

— Chcecie dostać gadaniem to, czego nie możecie schwycić rękami. — Laskolnyk uniósł wysoko brwi. — Wymknęliśmy się wam bez trudu.

— Wasze konie rżęzą, są spocone, głodne i spragnione. Padną, nim przebiegną dwie mile.

— Wasze padają jeden za drugim, bo *Gwent*'ress zabija je po kolei. Po dwóch milach żaden nie może już stać na nogach.

Posłaniec uśmiechnął się zimno.

— Mówiłem, że już się domyślasz. Ale my będziemy musieli używać czarów coraz rzadziej...

— Dlatego że nie będzie potrzeby, czy dlatego że wasz Żrebiarz już się zmęczył?

Uśmiech poszerzył się i nagle znikł.

— Nie jestem gadatliwy. Mam przekazać słowa Kanawera Daru Glecha. Poddajcie się, a nikt nie zginie. Nie chcemy wojny z Imperium, więc zatrzymamy Szarego Wilka jako gwarancję, że nikt nie będzie nam przeszkadzał. Reszta odjedzie.

— Jestem tylko kha-darem małego czaardanu. Skąd pewność, że Meekhan posłucha?

— Genno Laskolnyk — w głosie koczownika pojawił się niespodziewany szacunek. — Imperium posłucha. Albo przynajmniej posłuchają jego żołnierze.

— A jeśli się nie zgodzę?

— Ty zostajesz, oni odjeżdżają wolno. To propozycja składana tylko raz. Jeśli ruszysz z tego miejsca, i tak cię schwytamy, ale wtedy twoich ludzi zabijemy. Wszystkich. Powoli. Słowo Kanawera Daru Glech.

Se-kohlandczyk omiół ich wszystkich wzrokiem, sprawdzając, jakie wrażenie zrobiły te słowa.

— Odważni. — Przeniósł spojrzenie na Laskolnyka. — Jaka odpowiedź?

— Zawróć konia i jedź do swoich, jeźdźcze. Jeśli ruszą, zanim do nich dotrzesz, zastrzelimy cię. Zrozumiałeś? — W rękach kilku ludzi pojawiły się łuki. — Nie zdjąłeś hełmu, nie przekazałeś znaków pokoju. Zapomniałeś o zwyczajach, czy twoje słowa jako posła są gównem warte?

Koczownik poblądł i zacisnął usta.

— Skąd ta odwaga, Szary Wilku? — wycharczał. — Może stąd, że spodziewasz się, że wasz pułk przyjdzie wam z pomocą? Opuścił stanicę równo ze świtem i wjechał między wzgórza.

Kailean poczuła, jak zakwita w niej nadzieja. Byli tu, zgodnie z planem Siódmy ich szukał.

— Na co mieli się kierować, generale? — głos posła był cichy, zimny i jadowity. — Na słup kurzu wzbijany kopytami koni? Widać go z daleka. Podobnie jak ten, ten, ten i tamten.

Wskazywał ręką różne kierunki. Teraz, gdy zwrócił ich uwagę, rzeczywiście dało się zauważyć tumany pyłu bijące w niebo.

— Dwadzieścia koni, każdy ciągnie za sobą pęk krzaków. Wzbijają tyle kurzu co pięć setek jazdy. Wasze posiłki miotają się po okolicy, nie wiedząc, gdzie właściwie jechać. Nie zbliżą się do was bardziej niż na dziesięć mil.

— Chcecie, żeby wasze konie i wasz Żrebiarz mogli odpocząć — przerwał mu Laskolnyk. — Niech odpoczywają. Ale jeśli ruszycie za nami, będziecie umierać. Jeden po drugim, aż nie zostanie nikt. To słowa Genna Laskolnyka dla Kanawera Daru Glecha. Przekaż mu je i powiedz, żeby następnym razem wysłał kogoś znajomego obyczajnie. Odjedź już.

Se-kohlandczyk przez dwa, trzy uderzenia serca tkwił w miejscu jak skamieniały. Potem ostrym, nerwowym ruchem zawrócił konia i ruszył stępa ku swoim. Po kilkunastu krokach przeszedł w kłus.

— No i co, dzieci, brzmiałem wystarczająco dumnie i groźnie?

Kailean nie musiała patrzeć na kha-dara, żeby wiedzieć, że ten uśmiecha się kwaśno. Jeśli czegoś nie lubił bardziej od długiego gadania, to gadania napuszonego.

— Mogłeś jeszcze wspomnieć coś o honorze i walce do ostatniego tchu, kha-dar — mruknęła.

— Następnym razem nie zapomnę. Słowo. Przygotować się, ruszą, jak tylko do nich dojedzie. Jak koń, Janne?

— Odpoczął trochę, da jeszcze radę. To dobry wierzchowiec.

Oczywiście, pomyślała, najlepszy, jakiego można kupić, ukraść czy zdobyć w walce.

Laskolnyk poprawił się w siodle.

— Uwaga. Zaraz do nich dojedzie. Już kręci głową. Teraz!

Zawrócili konie w chwili, gdy ścigający zagon ruszył z miejsca. Kolejny tuman kurzu wykwitł nad Lanwaren.

— Nie przejmujemy się nimi, kha-dar — wtrącił ktoś, kogo nie rozpoznała po głosie. — To tylko parę a'keerów i trzech szamanów. Nie zaszkodzą, a może i pomogą, bo pewnie wyrznęli już wszystkie bandy w okolicy.

— To nie trzech szamanów, tylko trzech Żrebiarzy, Kanewen. Każdy z nich jest wart tyle, co wielki bitewny mag. Sądzę, że gdyby chcieli, mogliby już teraz wydać bitwę Siódmemu, bo pułk ma tylko kilku zwykłych woj-skowych czarodziejów, niezłych, ale wszyscy razem nie daliby rady jednemu z nich. Żrebiarzowi, znaczy się. Nie. Nie będziemy ryzykować. A poza tym to wciąż jest Meekhan, Imperium, choć niektórzy o tym czasem zapominają. Nie będzie tak, że koczownicy traktują te tereny jak ziemię niczyją. Nie będą tu wjeżdżać i wyjeżdżać, jakby byli u siebie.

Poparł go chór zgodnych pomruków.

— No i nie byłoby też dobrze, żeby Zawyr Heru Lom i Sowynenn Dyrnih zbyt szybko rozwiązali swój konflikt. Zawyr zaryzykował – jeśli mu się uda, zniszczy konkurenta pierwszym ciosem i przejmie jego ziemie, a pewnie i wojska. Urośnie w siłę i będzie dwa razy groźniejszy. Jeśli jednak straci trzech Żrebiarzy i kilkuset Jeźdźców Burzy, może się okazać, że siły będą wyrównane. Walka między tymi dwoma może się wtedy różnie zakończyć. Dlatego chcemy, żeby Zawyr stracił wszystko, co tu wysłał, i dlatego będziemy się z nimi ścigać, dopóki nie znajdziemy wszystkich szamanów. Zrozumiano?

— A potem? Ja tam mogę nawet załatwić jeden czy dwa a'keery, ale co do Żrebiarzy, to nie jestem do końca pewien...

Tym razem rozpoznała głos. Niiar. Ale jakoś nikt się nie roześmiał z kiepskiego żartu.

— No właśnie, jak ich znajdziemy, kha-dar, to co?
— Kocimietka podrapał się po głowie, krzywiąc dziwacznie. — Napijemy się piwa? Zaprosimy do domu? Poopowiadamy zabawne historie, jak to przy spotkaniu starych przyjaciół?

Laskolnyk uśmiechnął się pod wąsem.

— Nie. Gdy ich spotkamy, zabijemy wszystkich, i to tak, żeby żywa noga nie uszła. Niech Zawyr z Klahhyrów zastanawia się, co się stało z jego ludźmi. Niech się waha i postępuje ostrożnie, nie wiedząc, co zaszło. Czy Żrebiarze go zdradzili, czy oddziały przeszły na stronę Sowynenna, czy też ten dowiedział się o wszystkim i zmiotł je z powierzchni ziemi? A jeśli się dowiedział, to czy ma tak dobrych szpiegów, że zna wszystkie plany wrogów? I tak dalej. Niech się zadręcza i waha.

Czaardan zaszumił i ucichł.

— I nie, nie zrobimy tego sami, choć wierzę, że bardzo byście chcieli. Siódmy pójdzie za nami. My mamy za zadanie ściągnąć na siebie całą uwagę Błyskawic i ich szamanów. Żeby nie mogli wysłać czujek na boki, żeby Żrebiarze użyli wszystkiego, co mają, i byli bardzo zmęczeni, gdy nasi uderzą. Tylko wtedy pułk podejdzie do nich niezauważony. To jak łowy na niedźwiedzia, kiedy jeden myśliwy wrzeszczy i ściąga na siebie uwagę zwierzęcia, a inni zachodzą go i wbijają włócznię w bok.

Laskolnyk przestał się uśmiechać.

— Może się nam nie udać, dzieci. Możemy przeliczyć się z siłami. Kto chce, jutro rano niech wróci do stacji. Bo jak plan nie zadziała, to jutro wieczorem wszyscy będziemy martwi.

Plan najwyraźniej nie zadziałał.

Kolejnego Żrebiarza znaleźli godzinę po rozmowie z posłańcem. Tym razem pościg stracił już swoją dzikość. Koczownicy wciąż siedzieli im na karku, ale nie próbowali już szaleńczych szarż w pełnym cwale. Zamiast tego gnali ich tylko w wyznaczonym, sobie tylko znanym kierunku. I nie dawali chwili wytchnienia.

Trzymali się sto pięćdziesiąt jardów za nimi tak ściśle, jakby ktoś sznurkiem wymierzył odległość. Skrzydła pogoni rozciągnęły się nieco bardziej, pogrubily, widać było, że tym razem niespodziewany zwrot nie przebije się przez żadne z nich.

Kailean rzuciła okiem na prawo i lewo. Daghena jechała nisko pochylona, raz po raz muskając wolną dłonią któryś ze swoich amuletów, Janne twarz miał ściągniętą jak pośmiertna maska, oczy ciemne i na wpół martwe. Jego koń rzęził, jakby ktoś nasypał mu w gardło stepowego pyłu.

Ale biegł. Sunął ciężkim, rytmicznym galopem, którym konie czaardanu potrafiły pędzić przez pół dnia. Coś jej mówiło, że będzie tak biegł, dopóki serce mu nie pęknie, bo to właśnie taki wierzchowiec. Najlepszy, jakiego można kupić za pieniądze, ukraść lub zdobyć w walce.

Lecz w tym galopie towarzyszyło im coś jeszcze. Rozpacz. Czarna, lepka i mdła. Odbierająca nadzieję i płacząca myśli.

Bo Błyskawice gnały ich tam, gdzie chciały. Każda próba zmiany kierunku kończyła się wściekłym cwalem któregoś ze skrzydeł pogoni. Chciały ich zameczyć, zagonić na śmierć. Mimo że od czasu do czasu kilka koni spadało z grupy ścigających, Kanawer Daru Glech musiał uznać, że warto. Jeszcze kwadrans, pół godziny, a czaardan się rozsypie. Konie zaczną się przewracać,

a wtedy jeźdźcy złamią karki lub, bezbronni wobec konnych, dadzą się schwytać na arkan. Na dodatek musiały pędzić w stronę, którą wyznaczał dowódca koczowników; Kailean, obserwując wędrówkę słońca po niebie, była gotowa założyć się, że zmusza ich do krążenia po spirali. Zataczali powoli wielkie koło pośrodku Lanwaren, zbliżając się do jego centrum i – tu zakładanie się byłoby już głupotą – trzymając z daleka od Siódmego. Pomoc nie nadejdzie, lis porwał przynętę i wymknął się myśliwemu. Napotkała wzrok Kocimiętki, a zaraz potem Lei. Nie tylko ona rozglądała się wokół, jakby chcąc ostatni raz spojrzeć na towarzyszy.

Nie uciekną, mówiły te spojrzenia, plan się nie udał. Lecz oni na pewno nie dadzą się wziąć żywcem.

Desperacja, siostra rozpaczy.

Czary przelały się przez wzgórze powolną, syczącą falą. Widziała je jako postrzępione, pełzające tuż przy ziemi, mgliste smugi, ciemniejsze na krawędziach niż w środku, niewzruszone, mimo wzmagającego się wiatru. Płynęły w dół w tempie leniwego spaceru, pożerając wszystko na swojej drodze. Suche trawy i rachityczne krzaczki marszczyły się i rozpadały w szary, lepki pył.

Błyskawice nie potrzebowały więcej konnych, żeby zamknąć pułapkę.

Zwrot! Lewo!

Konie niemal położyły się na ziemi, biorąc ostry zakręt. Pomknęli wzdłuż skażonego magią terenu, po lewej mając zbliżającą się ścianę żelaza. Jeźdźcy Burzy postanowili wreszcie zakończyć zabawę.

Łuki!

Widziała zbliżający się oddział, lance zakończone pętłami, arkany, liny. Nadal chcieli ich brać żywcem. Założyła

na cięciwę szydło, zostawiając ostatnią igłę w kołczanie. Byli blisko.

Teraz!

Oddali salwę, potem następną. Strzały leciały płasko i wbiły się w końskie i ludzkie piersi, głowy, szyje. Laskolnyk nie wymagał, żeby wszyscy w czaardanie strzelali z absolutnym mistrzostwem, ale kilka takich osób było. A ona zawsze miała dryg do łuku.

Pierwszym szydłem zdjęła z siodła Se-kohlandczyka, który na swoje nieszczęście zbyt nisko opuścił tarczę. Drugim przestrzeliła gardło jego towarzyszowi. Prawdę mówiąc, mierzyła w twarz. Założyła trzecią strzałę, napięła łuk...

Daghena krzyknęła ostrzegawczo, gdy czaardan w pełnym pędzie wpadł w mgliste smugi. Czary, do tej pory płynące leniwie nad ziemią, ruszyły nagle z miejsca i w mgnieniu oka owinęły się wokół końskich nóg. Wiało od nich chłodem, lodowatym tchnieniem z najodleglejszych rejonów Wszechrzeczy, z samego dna chłostanego mroźnymi wiatrami piekła.

Jeźdźcy Burzy zaprzestali pościgu, zatrzymując się w odległości jakichś trzydziestu jardów, tuż przed granicą pokrywających ziemię czarów. Już nie byli potrzebni.

Konie czaardanu zareagowały dzikim, wyzywającym rżeniem i pomknęły przed siebie. Potrzeba było kilku długich chwil, zanim ten chłód przegryzie się przez żywe ciało, zamrozi mięśnie i ścięgna, kości i krew, zanim zmieni nogi wierzchowców w kawałki martwej tkanki, pękające jak szkło. Jeszcze mogli się wyrwać.

Lecz czary podążały za nimi niczym przywiązane do końskich pęcín, a ktokolwiek nimi kierował, był prawdziwym mistrzem i trzymał ich w garści.

Gwizdek Laskolnyka przebił się przez tętent kopyt.

Stać!!!

Zatrzymali się, szarpiąc wodze, aż niektóre konie przysiadły na zadach.

Daghena sięgnęła nagle do wiszącej przy siodle torby i wyjęła garść kolorowych kamyków. Rozrzuciła je wokół szerokim, gospodarskim gestem, jak chłop siejący zboże. Szare opary połknęły żwir i przez chwilę nic się nie działo.

Potem, z miejsc gdzie upadły kamyki, uniosły się smugi pary, rozległ się odgłos pękających w żarze kasztanów i pojawiły się niewielkie wiry. I zupełnie tak, jakby każdy z nich eksplodował, coś rozepchnęło szare pasma, wymiotło je z gruntu, jakby od dołu powiał wiatr, i nagle czaardan znalazł się w wolnej przestrzeni, w kręgu, do którego wrogie czary nie miały dostępu.

Kailean poklepała Toryna po spoconej szyi i wykrzywiła się do Dagheny.

— Plemienna magia, co? Musisz mnie kiedyś poznać z tą swoją babką.

Czarnowłosa uśmiechnęła się dziko.

— Nie ma sprawy, Kailean. Ona zawsze jest ze mną. — Wyciągnęła spod skórzanego pancerza mały woreczek i potrząsnęła. W środku coś zagrzechotało. — Kailean, to moja babka. Babciu, poznaj Kailean. Nieźle strzela z łuku jak na Meekhankę.

Wszyscy w milczeniu gapili się na woreczek.

Duch przodka. Zakłęta w kilku kościach, opiekująca się potomkami dusza, która nie wybrała się w drogę do Domu Snu. Zgodnie z Wielkim Kodeksem za posiadanie czegoś takiego szło się na stryczek.

Ktoś z tyłu chrząknął.

— Hm... Patrząc na ciebie, Dag, spodziewałem się, że twoja babka będzie, hm... ciut wyższa.

Zapadła cisza.

A potem wybuchnęli śmiechem, cały czaardan, jak jeden mąż. Ryczeli, parskali i chichotali jak szaleńcy. Ktoś wtulił twarz w końską grzywę, ktoś inny dławił się i charczał, ledwo mogąc złapać dech. Czerwony niczym mak Kocimiętka ryczał tak, że aż łzy spływały mu po policzkach, znacząc szlak w pokrywanym je stepowym kurzu. Dzięki jakimś plemiennym, na wespół szamańskim czarom znaleźli się w kręgu wydartym zabójczej magii. Od Błyskawic dzieliło ich zaledwie kilkadziesiąt jardów, a zaśmiewali się pod niebiosa. I z tym śmiechem wszystko z nich spływało, strach, zmęczenie, ośpienie i podszyta poczuciem beznadziei rozpacz. Nawet koniom udzielił się nastrój, bo zaczęły potrząsać łbami, zadzierać ogony i niecierpliwie dreptać w miejscu.

Jeźdźcy Burzy stali oddzieleni od nich magią, której nie śmieli przekroczyć, i gapili się w milczeniu na zanoszące się śmiechem niedoszłe ofiary. I nawet najgłupszy z nich rozumiał, że ścigany oddział nie jest już grupką zdesperowanych uciekinierów na zagonionych niemal na śmierć koniach.

Znów jest bojowym czaardanem.

Laskolnyk pierwszy się uspokoił. Odczekał chwilę, aż ucichną śmiechy, i włożył gwizdek do ust.

Klin. Równaj.

Zajęli pozycje jak na paradzie, w kilka chwil formując klin. To też był pokaz dla Błyskawic. Wyzywający i arogancki.

— Dag, dasz radę otworzyć nam przejście? — Laskolnyk wskazał na szczyt wzgórza.

Daghena schowała woreczek pod pancierz i stanęła w strzemionach, żeby lepiej ocenić odległość.

— Dam. Ktoś się domyśla, jak daleko to coś sięga z drugiej strony?

— Dwadzieścia stóp — mruknęła Lea. — Nie więcej.

Lea. Dosiadała najbrzydszego i jednocześnie najszybszego konia w czaardanie. I wieszczyła. Widziała na odległość.

— A ten, który rzucił te czary? Żrebiarz?

Dziewczyna rozejrzała się po wszystkich, westchnęła ciężko i zeskoczyła z siodła. Uklękła na oba kolana, wbiła obie dłonie w pokrytą szarym pyłem ziemię i głośno, jakby właśnie wypłynęła z głębin, nabrała powietrza.

— Mię za wzgórzem. Dwóch Żrebiarzy — wyrzucała z siebie zdania, jakby zmagą się z jakimś ciężarem. — Setka zbrojnych. Może więcej. Ten, który rzucił czar, nie wie, co się dzieje. Co podziurawiło mu zakłęcie. Jest zły. Czuję, jak wali mu serce. Czuję... zbiera siły, zaraz uderzy znów...

Wyrwała dłonie z szarego pyłu i jednym susem znalazła się w siodle.

— Uciekajmy stąd, kha-dar.

Laskolnyk skinął dłonią i Daghena rzuciła przed siebie garść kamyków. Lecz zanim wszystkie zniknęły w szarych oparach, coś się zmieniło. Kailean nie wiedziała co, ale nagle poczuła się znacznie lżej. Aż zakręciło jej się w głowie, jakby nagle zaczęła spadać z dużej wysokości.

— Cofnął czar! Zaraz uderzy znowu! Cwaaaaa!!!!

Kha-dar potrafił nieźle krzyczeć. Czaardan poderwał się i runął naprzód. Niemal w tej samej chwili Jeźdźcy Burzy spięli konie i pomknęli za nimi.

Tylko że teraz zasady się zmieniły. Tym razem w chwili startu oba oddziały dzieliło ledwie kilkadziesiąt jardów, dosłownie dobry rzut kamieniem. Jedni i drudzy mieli już bardzo zmęczone konie, lecz Błyskawice wciąż

wspierał Żrebiarz, a gdyby nawet połowa ich wierzchowców miała paść, reszta wystarczyła do pokonania uciekających.

Odległość między ścigającymi a czaardanem zaczęła się szybko zmniejszać. Konie Jeźdźców Burzy rwały takim cwałem, jakby biegły w najważniejszej gonitwie swojego życia. Przejeżdżając szczyt wzgórza, Kailean rzuciła okiem za siebie, w samą porę, by zobaczyć, jak co najmniej dwa z nich po prostu przewracają się na ziemię. Szara Sieć zbierała swoje żniwo, choć i tak robiła to zbyt wolno, by czaardan Laskolnyka mógł mieć nadzieję na ucieczkę.

Bo ich konie, mimo chwilowego odpoczynku, nie miały już sił. Dyszały ciężko, rżącymi haustami zasysając powietrze, a mokra sierść lepiała im się do boków. Och, żadne inne zwierzęta na całych przeklętych Wielkich Stepach nie dokonałyby tego, co one, nie dałyby rady tyle godzin umykać kilku a'keerom Błyskawic, dosiadających doborowych wierzchowców i wspieranych przez czary. Żadne. Ale nawet one znalazły się wreszcie u kresu swoich możliwości.

A za wzgórzem... Lekki stok prowadził wprost na dno olbrzymiej niecki, szerokiej przynajmniej na milę. Na jej drugim krańcu błyszczały zbroje i lance ostatniego a'keeru Błyskawic, tego, który jeszcze nie brał udziału w zabawie, osłaniając pozostałych Żrebiarzy. Oddział właśnie rozkładał skrzydła, szykując się do szarży. Za główną linią pozostawiono tylko kilkunastu konnych, zapewne szamanów z osobistymi strażnikami. Ich Moce nie były już potrzebne i mogli spokojnie, jak z teatralnej łoży, obserwować ostatni akt dramatu.

Bo czaardan nie miał żadnych szans. Tu nie było wzgórza, za którego grzbietem mogli się schować,

a każdy ich manewr był widoczny jak na dłoni. Nie zdołają się ukryć, żeby zmienić kierunek ucieczki lub znie-nacka uderzyć. Ci z nadzieżdżającego a'keeru nawet nie przeszli jeszcze w galop, zapewne mieli tylko wyłapywać ewentualnych uciekinierów.

Mimo to Laskolnyk spróbował. Gwizdek zaświszczał komendę i zaczęli skręcać w lewo. Za wolno, konie ści-gających ich Błyskawic były już jakieś trzydzieści jardów za nimi i czaardan zaczął nieuchronnie zbliżać się do skrzydła pogoni. Jeźdźcy Burzy z ostatniego a'keeru ruszyli, skracając dystans.

Toryn cwałował na końcu. Kailean bez żadnego roz-kazu odwróciła się i posłała dwie strzały za siebie. Jeden jeździec spadł z konia, jakiś wierzchowiec zarył chrapa-mi w ziemię, gdy ciężka strzała utkwiała mu do połowy drzewca w piersi. Wyrwa, która pojawiła się w ścianie konnych, znikła, zanim zdążyła mrugnąć, a chwila, gdy strzelała, trwające dwa uderzenia serca zakłócenie rytmu, kosztowało ją kolejne pięć jardów. Dosłownie czuła oddech ścigających na karku.

Gwizdek Laskolnyka przywołał ją do porządku.

Nie strzelać! Przygotować się!

Przygotować się? Na co???

Z nieba, niczym szara błyskawica, runął ptak. Stepowy jastrząb, zabójca i postrach pardw, kuropatw i wędrow-nych gołębi. Drapieżnik, w locie nurkowym szybszy niż belt z kuszy, spadł prosto na głowę konia prowadzącego lewe skrzydło pościgu. Kailean wydawało się, że nawet w tętnie kopyt, w pomruku chrapliwych końskich oddechów usłyszała zgrzyt pazurów o czaszkę i obrzyd-liwe, mokre mlaśnięcie, z jakim pękło trafione dziobem oko. Wierzchowiec zawył. Nie zarżał, tylko zawył i pierw-szy raz w życiu słyszała taki odgłos wydobywający się

z końskiego gardła. Ptak, rzecz jasna, zginął na miejscu, lecz raniony koń, wciąż wydając to przerażające, niesamowite wycie, rzucił się w bok i wpadł na sąsiada z linii. Dwa wierzchowce runęły na ziemię, podcinając nogi trzeciemu.

Świsł i przenikliwy, świdrujący uszy krzyk kolejnego ptaka zlały się w jedno. Druga szara błyskawica uderzyła w łeb następnego konia, natychmiast eksplodowała kłębem pokrwawionych piór, lecz trafiony wierzchowiec potknął się, a jego jeździec wyleciał z siodła.

Z nieba spadł trzeci ptak, potem czwarty i piąty.

W kilka chwil całe lewe skrzydło tworzącego pościg półksiężycza przestało istnieć. Konie Se-kohlandczyków mimo ponagleń zwalniały, boczyły się i nie chciały dalej biec. Były bojowymi ogierami, mogły wytrzymać strzały, miecze i szable, mogły przejść przez ogień i wodę, ale coś takiego okazało się ponad ich siły.

A czaardan miał przed sobą lukę.

Kailean rozejrzała się. Kto? Kto, do cholery, dysponuje taką mocą? Zerknęła na Dagheneę. Ta wzruszyła ramionami.

I wtedy Janne Newaryw, cwałujący obok, uniósł głowę i spojrzał jej w oczy. Jego przeraźliwie obnażony ból uderzył ją jak obuch. Janne mrugnęła i przez chwilę wydawało jej się, że ma żółte tęczówki. Żółte jak oczy sokoła.

Za nimi kolejny ptak runął w dół.

A czaardan pędził już przed siebie, kolejny raz wyrwali się z pułapki, znów mieli cień szansy. Skotłowane, przeżalone lewe skrzydło pościgu praktycznie stanęło, środek musiał je wyminąć, skrzydło prawe było ponad dwieście jardów za nimi, nadciągający z przeciwka a'keer dopiero zaczął galopować, usiłując odciąć im drogę, ale był stanowczo za daleko. Mogli znów uciec.

Jakieś pół mili przed nimi, na samym skraju niecki, z trawy uniosły się szare smugi. Zakłębiły się, zatańczyły wbrew wiatrowi wiejącemu od wschodu i okrzepły. A potem ruszyły ku nim, leniwie, powoli, zostawiając za sobą szerokie pasmo szarego pyłu.

Mimo łomotu kopyt walących o step, słyszeli, jak przed nimi pęka ziemia, w mgnieniu oka zamieniając się w wieczną zmarzlinę. Szare kłęby nie snuły się już przy gruncie, lecz miały dobre dziesięć stóp wysokości, dość, by przykryć konia z jeźdźcem. Trawy przed nimi pokryły się szronem. Tym razem Żrebiarz użył całej swojej Mocy. Nie przejadą.

Lecz cwałowali przed siebie, posłuszni gwizdkowi Laskolnyka, który nawoływał: Naprzód! Naprzód! Naprzód!

Więc skulili się w siodłach i rwali wprost na sunące leniwie szare kłęby.

Byli czaardanem.

A ścigające ich a'keery połączyły się, wyrównały szyk i pędziły za nimi. Ale już niezbyt szybko, ledwo spokojnym galopem, a widząc, jak ściana czarów rozrasta się na boki i wygina w półkole, Kailean przestała się temu dziwić.

Galop!

Zwolnili nieco, wyrównali. Spojrzała w lewo, na Jannego, potem w prawo, na Daghene. Oboje siedzieli w siodłach wyprostowani, jakby wybrali się na przejażdżkę. Topór męzczyzny połyskiwał w słońcu, krótkie szable dziewczyny, przy których jelcach wisiały pióra i nanizane na rzemień kamyki, tkwiły jeszcze w pochwach, lecz Dag miała już ręce wolne.

Kłus!

Zwolnili znów. Usłyszała, że pościg zrobił to samo. Nie obejrzała się jednak. Przed nią Kocimiętka wsunął łuk w łubie, założył tarczę na ramię i wyciągnął szablę. Jadąca obok niego Veria sięgnęła po krótką lancę. Obejrzała się i posłała Kailean szeroki uśmiech. I nagle przestało ją obchodzić to, że za plecami ma trzysta Błyskawic, a przed sobą mroźną falę. Byli czaardanem, rodziną, towarzyszami i kamratami, i dokonali czegoś, o czym długo będą opowiadać na Stepach. Przez pół dnia wodzili za nos kilkuset Jeźdźców Burzy i potrzeba było dopiero Żrebiarzy, żeby ich dopaść. A i teraz nie są jeszcze pokonani. Jeszcze mogą zawrócić konie i pocwałować wprost na Błyskawice, i na zimny uśmiech Laal, wielu koczowników pożałuje, że to nie ich konie padły po drodze. Odwzajemniła uśmiech.

Byli wolnym czaardanem, wojującym rodem, a ich kha-darem był sam Laskolnyk.

Podobnie jak Kocimiętka, wsunęła łuk w łubie i wyciągnęła szablę. I po raz pierwszy była szczerze zadowolona, że Berdeth znikł. Jeśli możesz oszczędzić przyjaciołom paskudnej śmierci, zrób to.

Zatrzymali się kilkadziesiąt kroków przed ścianą czarów i zawrócili konie.

Znaleźli się w okręgu, którego jedną połowę stanowiły czary, a drugą zbrojni. Daghena tylko raz obejrzała się na skłębione, szare smugi i wykrzywiła usta. To za nimi zdecydowanie przekraczało jej Moce. I Moce jej babki też, przemknęło Kailean przez myśl. Uśmiechnęła się leciutko. Aż tu czuła na plecach bijący od czarów Żrebiarza chłód.

Błyskawice zatrzymały się sto jardów przed nimi. Od ich linii ponownie oderwał się pojedynczy jeździec. Tylko że teraz trzymał lancę grotem w dół, a hełm umieś-

cił na jej uniesionym w górę końcu. Pas przesunął wokół bioder tak, że pochwa z szablą płątała mu się gdzieś za plecami, a tarczę powiesił przy siodle. Jechał negocjować.

W połowie drogi zatrzymał się i potrząsnął lancą. Hełm zadźwięczał.

Laskolnyk powoli zdjął własny i założył na łęk siodła. Uniósł obie dłonie.

Koczownik podjechał bliżej. Wyraźnie widziała jego twarz, młodą jak na Jeźdźca Burzy i w dziwny sposób nieśmiałą.

Se-kohlandczyk ogarnął ich wzrokiem, pokręcił głową, otworzył, zamknął i ponownie otworzył usta.

— Wszyscy — zachrypiał spierzchniętymi wargami.
— Dojechaliście tu wszyscy.

Laskolnyk pochylił się lekko, jakby zaciekawiony.

— Gdzie poprzedni mówca?

— Padł. Strzała trafiła go w usta.

— Więc mówić z pewnością nie może. A ty, jak się nazywasz? Albo nie — poprawił. — Nie mów. To nieważne. Czego chcecie?

— Mam porozmawiać o poddaniu...

— Aaaa, to dlatego pędzicie tak za nami przez pół dnia. Ale nie mogę was wziąć do niewoli. Spieszę się do Lithrew. Jeśli jednak pojedziecie do Małego Bynder, to dam wam list do dowódcy tamtejszego pułku. Powinien potraktować was łagodnie.

Zaśmiali się. Ale jakoś tak bez złośliwości, po prostu jak z dobrego żartu. Za to młody posłaniec poczerwieniał i wskazał ręką za siebie.

— Ja...

— Nie — kha-dar przerwał mu cicho, lecz z naciskiem.

— Nie możesz machnąć dłonią i rzucić ich do ataku, bo

dostali rozkaz, żeby wziąć mnie żywcem. Zupełnie jakby to, czy dam się wziąć żywcem, nie zależało tylko ode mnie. Powiedz mi, mówco, czy wasi Żrebiarze czerpią z Mocy bogów?

— Nie... nie rozumiem.

Laskolnyk wskazał ręką na otaczający ich oddział.

— Jeden z nich pół dnia utrzymuje Szarą Sieć dla kilkuset koni. Jest... Naprawdę dorównuje naszym wielkim bitewnym magom. Drugi postawił nam za plecami ścianę czarów, której powinno się użyć w bitwie przeciw całej armii. To też znakomity czarownik. Ale to kosztuje. Bardzo wiele kosztuje.

Se-kohlandczyk zamrugał, nadal nic nie rozumiejąc. Laskolnyk westchnął.

— Zapytam inaczej. Czy nie sądzisz, że muszą już być bardzo zmęczeni?

Kha-dar uniósł rękę. Brzęknął łuk i w niebo pomknęła pojedyncza strzała. Młody koczownik siedział z otwartymi ustami, gapiąc się na ciągnący za sobą jaskrawoczerwoną wstążkę pocisk. Strzała wzbija się w niebo wysoko, wysoko, niemal na granicę widoczności. Gdyby nie łopocząca za nią czerwień, pewnie straciliby ją z oczu.

Przez chwilę wszyscy, czaardan i Błyskawice, tkwili nieruchomo, z głowami zadartymi pod niebo, niektórzy pewnie nawet nie zdążyli jeszcze zadać sobie pytania, co właściwie oznacza ten sygnał, gdy nadeszła odpowiedź.

A nadeszła od strony ziemi, która zadrżała, jakby przeszyta zwiastującym gorączkę dreszczem. Kailean wyczuwała to drżenie, nawet w siodle, i z zapierającą dech w piersiach, niemal obłądną radością zrozumiała, co to jest. Ziemia drży w ten sposób, gdy tysiąc pancernej jazdy idzie do szarży. Siódmy nadchodził.

Poprzedzała go fala czarów. Coś uderzyło od tyłu w mroźny mur i ściana za ich plecami wygięła się, zafalowała i tchnęła mrozem. Ale Laskolnyk miał rację, utrzymanie tak potężnego czaru przez tak długi czas było potwornie męczące i nawet Żrebiarz dorównujący Mocą wielkim bitewnym magom Imperium płacił za to straszliwą cenę. Zresztą czarodzieje służący w pułku gwardii też nie wypadli sroce spod ogona. Fala rozedrganego od gorąca powietrza owinęła się wokół szarej ściany i wdusiła ją w ziemię.

Linia Jeźdźców Burzy zakłębiła się. Właściwie to mieli dwa wyjścia, rzucić się na stojący spokojnie czaardan albo zawrócić konie i uciec przed nadchodzącym zagrożeniem. Chyba zabrakło im dobrego dowódcy, kogoś, kto błyskawicznie podejmie decyzję i wyda odpowiednie rozkazy, bo choć grunt drżał coraz bardziej, oddział stał na miejscu jak wrośnięty w ziemię. Dopiero gdy czary Żrebiarza zostały przełamane, kilkudziesięciu jeźdźców ruszyło do straceńczej szarzy na oddział Laskolnyka. Reszta nadal tkwiła w miejscu.

Gwizdek kha-dara zawrócił czaardan i oni również pocwałowali w górę niecki. Kilka ostrych komend uformowało ich w wąski, podwójny rząd.

W chwili, gdy zbliżyli się do krawędzi, wypadły zza niej pancerne chorągwie. Ściana jeźdźców rozdzieliła się po obu stronach czaardanu i z łomotem kopyt, powiewając płaszczami i zielonymi chustami, runęła przed siebie. Tych kilkudziesięciu koczowników, którzy ścigali oddział Laskolnyka, w mgnieniu oka stratowano i starto w pył.

Czaardan zatrzymał się, tym razem bez komendy. Zawrócili konie i ustawili się na krawędzi niecki. Widok rzeczywiście był jak z najlepszych miejsc najlepszego

teatru. Tylko że teraz to nie oni grali główne role w dramacie.

Błyskawice były już rozgromione. Co prawda stawili czoło szarżującym gwardzistom, ale chyba tylko dlatego, że nie miały one innego wyjścia. Tych niespełna trzystu, którzy zamykali pułapkę, w większości siedziało na zagonionych niemal na śmierć koniach, a Laskolnyk miał rację również co do drugiego Żrebiarza. Szara Sieć wyssała z niego siły i w chwili, gdy zaatakował ich Siódmy, nie zdążył jej zapleść ponownie. Może zresztą zginął w czasie pierwszej szarży, kto wie? W każdym razie żadne czary nie rozbłysły nad ścianą konnych i przez kilka uderzeń serca oba oddziały przemieszały się ze sobą, tworząc kłębiącą się, brzęczącą żelazem i wydającą nieludzkie ryki linię. Dopiero widząc walczących, Kailean uświadomiła sobie, że swoje półpancerne chorągwie Imperium uzbierało i opancerzało na wzór Błyskawic. Podobne kolczugi i hełmy, podobne szable i lance. Gdyby nie płaszcze i zielone chusty, trudno byłoby się zorientować, kto kogo leje, pomyślała kwaśno. Niemal w tej samej chwili atakujący przełamali linię stawiających rozpaczliwy opór a'keerów i Jeźdźcy Burzy rzucili się do ucieczki.

Lecz nie było gdzie uciekać. Przez przeciwległą krawędź niecki przelała się nieregularna, postrzępiona linia pstrokatej konnicy. Wolne czaardany, z którymi dowódca Siódmego podpisał kontrakt, również przyłączyły się do zabawy.

Patrząc na tempo, w jakim padali koczownicy, Kailean wątpiła, czy ktokolwiek z nowego oddziału zdąży ściąć się z Se-kohlandczykami. Ci, którzy brali udział w pościgu za czaardanem Laskolnyka, mieli tak zagonione konie, że niektóre po prostu stawały, zwieszając głowy. Zanim ich

jeźdźcy zdążyli zeskoczyć z siodła, z końskiego grzbietu zdejmowało ich pchnięcie lancą lub cios szabłą. Jedyne a'keer osłaniający Żrebiarzy miał wypoczęte wierzchowce i to chyba one gnały na czele uciekających.

Żrebiarze, przypomniała sobie. Zostało dwóch i garść strzegących ich konnych. Gdzie?

Pędzili właśnie w stronę środka niecki, tam, gdzie miały się za chwilę zetknąć dwie fale konnych. A za nimi, łopocząc płaszczami jak na jakimś kiczowatym, militarystycznym fresku, sunęła kolejna chorągiew Siódmego, flankowana na skrzydłach przez kilkudziesięciu półdzikich jeźdźców. Jak na komendę wszyscy, kawalerzyści i nieregularna jazda, unieśli łuki i z jakichś stu pięćdziesięciu jardów wypuścili strzały. Te, targnięte dzikim podmuchem, zawirowały w powietrzu i zmieniły tor lotu. Żrebiarze osłaniali się czarami, choć trudno rzucać zaklęcia z grzbietu pędzącego konia. Tymczasem strzały sypały się na nich już nieustannym deszczem, ścigający dobrze wiedzieli, że dopóki czarownicy będą zajmować się pociskami, dopóty nie zdołają odpowiedzieć magią. Stare powiedzenie głosiło, że jak przyciśniesz maga do muru, wal w niego, dopóki nie puści krwi nosem i uszami. I to właśnie robili kawalerzyści, atakowali raz za razem, wiedząc, że w końcu Żrebiarze osłabną lub spóźnią się z reakcją.

— A reszta, kha-dar? Gdzie? — Kocimiętka obserwował rzeź na dole z miną zawodowego żołnierza. — Nas minęły trzy, tam jest jedna. Gdzie pozostałe dwie chorągwie i połowa kontraktowych?

— Tu i tam. — Laskolnyk wykonał nieokreślony gest. — Ktoś musi zająć się tymi, których konie padły po drodze, prawda? I tymi, którzy wzbijali tumany kurzu. I nie popisuj się, Sarden. To jeszcze nie koniec.

Dwa oddziały konnych zderzyły się pośrodku niecki. Właściwie była to rzeź – niespełna setka Błyskawic przeciw sześciu setkom gwardii i trzem nieregularnej jazdy. Nieregularnej w sensie braku jednolitego umundurowania i uzbrojenia, bo większość wolnych czaardanów stanowiły stepowe zabijaki, które pół życia spędziły na takich potyczkach i z których niejeden miał za sobą służbę w wojsku. Więc nie pozwolili się rozerwać, mimo że resztki ostatniego a'keeru najwyraźniej próbowały to zrobić, w ostatniej chwili formując luźny klin. Ale klin został sprawnie stępiony i osadzony w miejscu, a po chwili w jego miejscu widać już było tylko olbrzymie koło, z topniejącym w oczach centrum.

Żrebiarze gnali wprost na to koło, mimo pogoni siedzącej na karku. Przebyli już połowę drogi, zostało im ledwo trzysta pięćdziesiąt, może czterysta jardów. Szukają śmierci?, zdążyła pomyśleć, gdy jakieś dwieście jardów przed uciekającymi podniosły się z ziemi mgliste pasma.

Laskolnyk zareagował pierwszy.

— Naprzód! Cwał!

Ruszyli, poganiając konie do ostatniego, rozpaczliwego zrywu.

Szara mgła podnosiła się coraz wyżej i coraz szerzej rozkładała ramiona. Sunęła w tempie galopującego konia i tylko kilka uderzeń serca dzieliło ją od pochłonięcia zajętych walką chorągwi. Powietrze nad nią skrzyło zamrażającymi drobinami, ziemia niemal jęczała, w mgnieniu oka skuwana chłodem. To byłaby dobra wymiana, połowa pułku i kilkanaście czaardanów w zamian za trzy a'keery. A w chaosie powstałym po tej rzezi Żrebiarze mogliby uciec, omijając kłębowisko zamrażniętych na kość ciał.

Kailean machinalnie wyciągnęła łuk i założyła ostatnią igłę na cięciwę. To bez sensu, przemknęło jej przez głowę, nie zdążymy, w żaden sposób nie...

Fala gorąca uderzyła w skrzydło mroźnej ściany, przebiła się i runęła na Żrebiarzy. Kailean widziała ją jako smugę falującego powietrza, zostawiającą za sobą pas spopielonych roślin. Żadnych płomieni, żadnego otwartego ognia, sam żar. Kto? – rozejrzała się. Kto uderzył czarem?

Kolejna chorągiew wyłoniła się zza krawędzi niecki, a na jej czele pędził pojedynczy jeździec. Z jego prawej dłoni, wyciągniętej przed siebie, buchało gorąco.

Uciekający skręcili w miejscu, a ściana mrozu, sunąca ku dorzynającym resztki Błyskawic chorągwiom, rozwinęła się niemal w oczach. Za to kolejna wyrosła naprzeciw fali gorącego powietrza.

Starcie było krótkie i brutalne, dwa czary, gorąco i mróz, zderzyły się, pożerając się nawzajem. Buchnęły kłęby pary, ziemia zadrżała, jakby dwie gigantyczne bestie zwały się w walce i jednocześnie padły, pokonane. I tyle. Lecz wojskowy mag osiągnął swój cel, odciągając uwagę Żrebiarza od reszty żołnierzy.

To wtargnięcie w umysł było brutalne. Nieokrzesane i zwierzęce. A ona prawie krzyknęła z radości i zapomniała o wypuszczeniu strzały.

Całym swoim na wpół dzikim jestestwem Berdeth wrócił. I od razu nastąpiło zjednoczenie, aż zakręciło się jej w głowie. Zamknęła oczy.

Niech cię licho, kudłaty durniu, zakłęta w myślach, chcesz, żebym spadła z konia?

Zalały ją obrazy wspomnień. Nieludzkie, w których dominowały szare barwy i kolorowe zapachy. Stepy. Obca obecność. Zaciekawienie. Zaintrygowanie. Od-

krycie. Niedowierzenie. Strach. Ból. Gniew. I wreszcie zimna jak ścigające ich niedawno czary – nienawiść.

Pierwszy raz Berdeth przekazywał jej tak wyraźne i skomplikowane odczucia.

Lecz gdy otworzyła oczy i spojrzała na resztki grupy ochraniającej Żrebiarzy, po raz kolejny omal nie spadła z konia.

Uciekający czarownicy kierowali się w jedyną lukę, jaka im pozostała – między czaardan Laskolnyka a próbującą ich zamknąć od drugiej strony chorągiew. Strzały nadal sypały się w ich stronę gęsto, lecz jak do tej pory bezskutecznie. Teraz widziała dlaczego. Ich nie chronił zwykły czar. To nie było nic w stylu używanej przez magów Imperium skoncentrowanej Mocy, która w zależności od aspektu mogła odbijać, spowalniać lub zmieniać kierunek pocisków.

Nad oddziałem Żrebiarzy unosiły się duchy.

Duchy przykute czarnymi, na wpół przejrzystymi łańcuchami do pasa, jaki założył jeden z czarowników. Było ich... sześć, osiem... dziesięć. Widziała trzy stepowe wilki, jelenia, dwa psy, młodego konia, coś, co musiało być duchem małego niedźwiedzia, i... dwoje ludzi. Mężczyznę i kobietę. I to te duchy odbijały pociski. Odbijały i krwawiły. Za każdym razem, gdy przesywała je strzała – by zmieniwszy kierunek, upaść nieszkodliwie gdzieś z boku – szarpały się na uwięzi, jakby zadawano im prawdziwe rany. Z miejsc trafienia wypływały ciemne, oleiste smugi, przez chwilę unoszące się w powietrzu, by zaraz spłynąć w dół i wzmocnić łączący je z pasem łańcuch. Im częściej duchy były trafiane, tym mocniejsze i trwalsze stawały się ich pęta.

Pojawiło się wspomnienie. Noc, gwiazdy – jasne kropki bez zapachu, ślad zająca, który przebiegał w pobliżu

wieczorem, i towarzyszący mu zapach stepowego lisa. Przelotna ochota, żeby sprawdzić, czy kuzyn napenił żołądek. I nagle TO. Czarny łańcuch wylaniający się z ciemności i uderzający prosto w pierś. Przeszywające na wskroś, lodowate i gorące jednocześnie korzenie, które z niego wyrosły, wypełniają całe ciało, sięgają każdej kończyny. I nagle nie jest już sobą. Wstaje, choć nie chce, idzie, choć nie chce. A potem dostaje szału. Szarpie się, gryzie łańcuch, a choć czuje w pysku prawdziwe, zimne żelazo, ogniwa wreszcie się poddają. Przewraca się, tarza, gryzie mocniej, zimne korzenie pękają i nagle ma władzę nad tylnymi łapami, potem pękają kolejne ogniwa, wstaje, zatacza się, warczy. Zaciska szczęki, aż jasne światło wybucha mu pod czaszką.

Łańcuch pęka.

To wszystko trwało krócej niż mgnienie oka. Teraz to były jej wspomnienia, jakby to ona skradała się przez nocny step i gryzła widmowy łańcuch. I wspomnienia następnych trzech dni i nocy, które Berdeth spędził na stepie, czekając na okazję do ataku. Polował na czarownika. Nigdy nie sądziła, że pies może kogoś tak nienawidzić, i jednocześnie sama czuła teraz tą organiczną, zwierzęcą wściekłość. Zjednoczenie niosło ze sobą takie dary, choć czasem zastanawiała się, ile tutaj zależy od Berdetha. I które z jej wspomnień stają się częścią jego pamięci.

Ta krótka chwila, drobne zwolnienie, gdy przestała popędzać konia, wystarczyło, żeby wypadła z szyku i znalazła się dobre dwadzieścia jardów za resztą. Czaardan wciąż gnał, starając się zamknąć lukę, którą wypatrzyli koczownicy. Zniszczenie kilku a'keerów nie będzie miało żadnego znaczenia, jeśli co najmniej dwóch Żrebiarzy wymknie się z pułapki. Łowy wciąż trwały.

Ale teraz wiedziała. Jeden z nich był prawdziwym *Lann'howen* – Łowcą Dusz. Takim, jakiego obawiali się i nienawidzili niemal wszyscy. Takim, który mógł przemocą zatrzymać duszę przy sobie i używać jej jako niewolnika. Dopóki miał te duchy w swojej władzy, dopóty strzały nie mogły mu nic zrobić, bo nie musiał czerpać Mocy z żadnego źródła. Prędzej cały pułk wystrzela wszystkie pociski, niż on się zmęczy.

Wypełniła ją zimna, dzika i wściekła nienawiść. Emocje Berdetha. Stłumiła ją, narzuciła swoją wolę. Taktyka psa, który chciał rzucić się do ataku, gryząc i skacząc do gardeł, nie była najlepsza. W tej walce to ona powinna kierować.

Czaardan znalazł się w zasięgu strzału. Obserwowała, jak pociski są przechwytywane przez duchy, jak strzały zwalnają i nieszkodliwie spadają na ziemię. Za każdym razem łańcuchy nieznacznie się pogrubiały.

Zostało jej tylko pięć szydeł i jedna igła.

Pochyliła się nad końskim uchem.

— No, Toryn. Daj z siebie wszystko, staruszk.

Odbiła w lewo, nie próbując dogonić reszty, pocwalała dziko przed siebie. Toryn mógł biec tak jeszcze kilka chwil, zanim zaryje chrapami w ziemię. Lecz dawał z siebie wszystko, tak jak prosiła, bo jeździli razem od trzech lat i nigdy nie zawiedli wzajemnego zaufania.

Znalazła się w luce, w której usiłował zmieścić się uciekający oddział. Bardziej wyczuła, niż zobaczyła, jak kilku innych próbuje za nią podążyć, lecz gwizdek Laskolnyka osadził ich w miejscu. Jeśli czaardan rozciągnąłby szyk, tych dwudziestu Se-kohlandczyków rozerwałoby jego linię i pomknęło w step. Między koczownikami a drogą ucieczki znalazła się tylko samotna dziewczyna.

Zatrzymała konia, gdy byli dwieście jardów przed nią. Pięć szydeł i jedna igła.

Wypuściła pierwszą strzałę, drugą i trzecią, świadoma, że dystans jest trochę za duży dla szydeł. Dolecieć, doleczą, ale ciężkie strzały będą miały już wtedy zbyt mały impet, żeby cokolwiek zdziałać. Ale jednego była pewna. Ten Żrebiarz musiałby być bogiem łuczników, żeby rozpoznać, jaka strzała nadlatuje.

Duch jelenia wyskoczył i odbił nadlatujące pociski. Tylko on. Reszta wciąż osłaniała uciekinierów przed ostrzałem z tyłu i z boku. Widziała, jak skacze, rączy i piękny nawet po śmieci, i serce jej krwawiło na widok ciemnych smug, które strzały wyrwały z jęgo ciała.

Żaden koczownik nie sięgnął po łuk, żeby postać jej strzałę. Po co? Za kilka uderzeń serca stratu ją i pognają dalej.

Zużyła ostatnie szydło i sięgnęła po igłę. Jej szeroki, płaski grot był tak ostry, że można by go używać jako brzytwy. Napięła łuk, wyrównała oddech. Widziała już wyraźnie każdą twarz, lecz skoncentrowała się tylko na jednej. Jej właściciel trzymał na uwięzi duchy.

Zjednoczenie znikło równie nagle, jak się pojawiło. Berdeth porzucił ją po raz drugi.

Tak, jak mu nakazała.

Miękko, niemal delikatnie, zwolniła cięciwę.

Igła była szybka. Znacznie szybsza niż szydło, tak właśnie ją zrobiono. Lekkie drzewce i miękkie lotki miały zapewnić jej prędkość i zasięg. Pomknęła płaskim torem na spotkanie twarzy Żrebiarza i wydawało się, że nic nie zdoła jej wyprzedzić.

Duch jelenia był szybszy. Wyrósł między czarownikiem a pociskiem, pochylając piękny, rosochaty łeb w geście godnym księcia każdej puszczy. Nadstawił pierś.

Szara smuga wyskoczyła z trawy i uwiesiła mu się na gardle. Berdeth kiedyś chodził z jej ojcem na polowania, a takich rzeczy się nie zapomina. Ściągnął jelenia nie więcej niż dwie stopy w dół, ale to wystarczyło.

Strzała przeleciała pustą już przestrzeń i zanim Żrebiarz zdołał przywołać następnego ducha, trafiła go w gardło.

Łańcuchy pękły, usłyszała ten dźwięk brzęący niemal jak szklany brzęk, i duchy rozpierzchły się na wszystkie strony.

Uciekający byli pięćdziesiąt jardów od niej.

Dwie salwy nakryły ich niemal jednocześnie.

Nie trzymali tarcz w górze, jechali ciasno, żeby schronić się w cieniu Mocy Żrebiarza. W większości zginęli natychmiast. A na resztę, skłębioną, poranioną i usiłującą opanować spanikowane konie, runęła pogoń.

Ostatni Se-kohlandczyk padł kilka kroków przed nią. Nawet nie wyciągnęła szabli.

Czekali na generała na skraju niecki, patrząc, jak nieregularni wyłapują ocalałe konie Błyskawic. To było brutalne starcie, tylko kilkunastu Jeźdźców Burzy udało się wziąć żywcem, reszta walczyła do końca. Cała okolica zasłana była ciałami, na środku niecki tworzącymi stos sięgający końskich brzuchów.

Kailean patrzyła, jak żołnierze kopią w pobliżu olbrzymi dół. Tak jak mówił Laskolnyk, a'keery Zawyra z Klahhyrów miały rozpląnąć się w powietrzu. Jeńcy najpewniej przez wiele lat nie opuszczą lochów. Zdobyczym koniom wypali się nowe znaki i odeśle je w głąb Imperium. Syn Wojny będzie skazany na plotki

i domysły, a jego konkurent nie dowie się nawet, komu zawdzięcza ocalenie.

Tak prowadziło się politykę na Wschodzie.

Żelazem, krwią i tajemnicą.

— Skąd... — Kocimiętka zawahał się, jakby wiedział, że tego pytania nie powinien zadawać. — Skąd Siódmy wiedział, gdzie jesteśmy?

Przez chwilę Laskolnyk nie odpowiadał, zapatrzony w głąb niecki.

— Ptaki — mruknął wreszcie. — Kazałem generałowi, gdyby okazało się, że nie można nas odszukać, patrzeć w niebo, szukając czegoś dziwnego. Jastrzębie, sokoły i myszołowy nigdy nie latają stadem.

Ci, którzy usłyszeli odpowiedź, pokiwali tylko głowami. Nikt nie zapytał, kto zmusił stepowych łowców do takiego zachowania. Czaardan to czaardan. Każdy ma swoje tajemnice.

Aberlen-gon-Sawe podjechał do nich w towarzystwie adiutanta i kilku członków sztabu.

— Generale Laskolnyk. — Skłonił się w siodle i zasałutował. — Imperium jest wdzięczne.

Kailean przyjrzała mu się uważnie. Cholera, ani śladu aroganckiego, obrażonego na cały świat furiata, który wypędził ich ze stancy. Dowódca Siódmego był niezłym aktorem.

— Generale gon-Sawe. — Kha-dar oddał salut. — Nie wiedziałem, że macie wielkiego bitewnego maga.

— Vanhen-kan-Lewav. — Dowódca Siódmego uśmiechnął się zakłopotany. — Mistrz Ścieżki Ognia. Ale jeszcze nie jest wielkim magiem. Dopiero aspiruje do tego tytułu.

— Poradził sobie ze ścianą zimna prawdziwego Żrebiarza. I to dwa razy. Będą z niego ludzie. — Laskolnyk

pokiwał głową. — Tak czy inaczej, dobra robota, generale. Siódmy może być dumny.

Wojskowy rozpromienił się i wyprostował w siodle. Psiakrew, zachowywał się jak ci żołnierze w czasie przeglądu.

— Dwudziestu ośmiu zabitych, trzydziestu rannych. Tyle, co nic, jak za sześć a'keerów i trzech Żrebiarzy. — Nie tyle się pochwalił, ile zameldował.

— Gdzie reszta? Ci, co odpadli? I ci, co was mylili?

— Nieregularni ich tropią. Reszta czaardanów i pełna chorągiew szły kilka mil za pościgiem. Tak jak zaplanowano. Żaden nie ucieknie.

Laskolnyk skinął głową.

— Cieszę się, że mogliśmy pomóc. Dowiedzieliście się, kto zdradził?

Generał skinął głową.

— Tak. Jeden z pastuchów. Miał podobno krewnych po drugiej stronie granicy. — Nikt nie skomentował czasu przeszłego, użytego przez oficera. — Gdybyście nie przegonili ich przez całe Lanwaren, miałbym dziesięć razy większe straty.

— To nie my.

Aberlen spojrział na niego zdziwiony.

— A kto?

Kha-dar uśmiechnął się, pochylił w siodle i poklepał wierzchowca po szyi.

— To one. Najlepsze konie, jakie można kupić, ukraść lub zdobyć w walce.



powergraph

powergraph.pl
sklep.powergraph.pl